Wyższej Szkoły Pedagogicznej w GDAŃSKU

PROLETARIUSZE WSZYSTKICH KRAJÓW ŁĄCZCIE SIĘ!

NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron | Warszawa, 26 września 1954 r. | Nr 39 (235) Rok V

PIOTR OŻAROWSKI

O Lubelskiej Wystawie — po gospodarsku

Szanowna Redakcjo!

Jestem stałym mieszkańcem wsi, choć nie gospodarzę w dosłownym tego słowa znaczeniu. Pracowałem przez szereg lat osobiście w rolnictwie i fizycznie, i administracyjnie. W tej chwili nie pracuję, choć chyba będę. Zagadnienia rolnicze jednak zawsze mnie interesowały. Ostatnio pracowałem w dziedzinie oświaty dla dorosłych również na wsi. Praca moja wymaga zainteresowania się zagadnieniami literatury i w ogóle zjawisk życia kulturalnego. Dlatego od dawna trwa moja znajomość z „Nową Kulturą" (przedtem „Kuźnicą"). Naturalnie nie ograniczam mej znajomości tylko do „Nowej Kultury". Redakcja zazdrosna nie będzie. Umyśliłem sobie przesłać do Was to moje „Sprawozdanie" ze zwiedzenia Wystawy Rolniczej w Lublinie. Naturalnie bez fałszywej skromności wdzięczny będę, gdy uznacie to za warte zamieszczenia na Waszych łamach.

Jestem dość pilnym czytelnikiem „Nowej Kultury" mieszkającym na tzw. „dalekiej prowincji". Postanowiłem potraktować na serio apele prasowe o łączności czytelników z pismem, no i napisać coś do redakcji jako konkretny rezultat tej łączności. Zdarzyła się dobra okazja. Zafundowałem sobie zwiedzenie Centralnej Wystawy Rolniczej w Lublinie. Kwadrans namysłu, obliczenie tzw. „mamony", decyzja — i 11 sierpnia br. już od wczesnego świtu jestem w Lublinie.

Zaznaczam, iż wycieczka moja była zupełnie indywidualna — od początku do końca. Niestety, mam pewną brzydką wadę — nie lubiłem i nie lubię tłumnego zwiedzania czegokolwiek i chyba się z tego nie wyleczę. Główna przeszkoda — poważny wiek i zastarzałe przyzwyczajenia. Jestem wprawdzie „rolnikiem" bez ziemi, niemniej w zagadnieniach rolnych jako tako się orientuję. Przedstawiam się dlatego, iż chciałbym, aby sądy moje o wystawie były rozumiane nie jako jakieś fanaberyjne „widzi mi się", lecz możliwie abiektywne.

Całą Wystawę podzieliłbym na dwa główne działy:

1) Część informacyjno-polityczno-społeczna, która przemawia do każdego zwiedzającego, obojętnie, czy jest rolnikiem czy też nie.

Ta część to sale wystawowe na Zamku, pełne wykresów, tabel, plansz, fotografii itp.

2) Część czysto rolnicza — to pawilony wystawowe rozbudowane na płaszczyźnie dokoła góry zamkowej.

Tutaj już domena specjalistów rolnych — hodowców, agronomów, łąkarzy, mechaników rolniczych. Wprawdzie i tu w niejednym pawilonie ozdobą jest graficzne wyposażenie, ale góruje nad nim konkretny obiekt wystawowy: zwierzę, maszyna, roślina.

Dokonawszy z grubsza tego podziału nie będę starał się zachowywać dalej jakiejś specjalnej systematyki opisowej. Postaram się ująć swe wrażenia tak, jak przychodziły, łącząc je z refleksjami natury ogólniejszej, wybiegającymi poza tereny i obiekty wystawowe. Ot, przyznam się, że dopiero na miejscu w Lublinie dowiedziałem się, że Zamek lubelski był w okresie międzywojennym przeznaczony na więzienie. Ot, myślę sobie, „należyte" zrozumienie wykazywały „czynniki rządzące" przedwrześniowej Polski dla zabytków przeszłości. Renesansowy zamek — na więzienie.

Dziś w Polsce Ludowej Zamek lubelski stanowi teren wspaniałego przeglądu sił gospodarczych narodu, a eksponaty wystawione w jego pomieszczeniach są najlepszą ilustracją do wspaniałej lekcji na temat: osiągnięcia gospodarki rolnej w okresie 10-lecia Polski Ludowej.

Duże wrażenie robi komnata, gdzie na nasypanej na kilkanaście cm warstwie ziemi stoi rosochate drzewo. Oparte o drzewo karabiny wyglądają jakby rzeczywiście zdjęte dopiero z pleców żołnierskich. Odczuwa się wprost fizycznie atmosferę zmęczenia walką, spokój tego rodzaju, który nastaje po dopiero co skończonej bitwie. Spokój ten jest wynikiem jednego krótkiego słowa, wypisanego jak drogowskaz na tabliczce przybitej do drzewa: „Rozminowano".

Lubelska satysfakcja ze zwycięstwa jest wspaniała. Szczególnie w Lublinie, w tym zamku — dawnym więzieniu. Nie myślę przytaczać całego szeregu liczb ilustrujących rzeczowo osiągnięcia dziesięciolecia. Są one ogólnie znane. Zatrzymam się tylko nad niektórymi z nich, które mają, moim zdaniem, specyficzna wymowę. Unowszechnienie konsumpcji kulturalnej jest ściśle związane ze wzrostem postępu technicznego, który umożliwia człowiekowi znalezienie czasu, miejsca i sił do realizowania zarówno twórczości jak i konsumpcji dóbr kultury i sztuki. Cóż mówią cyfry z wystawy.

Energia elektryczna w 1938 r. wskaźnik — 100.
Energia elektryczna w 1949 r. wskaźnik — 294.
Energia elektryczna w 1953 r. wskaźnik — 449.
W 1939 roku zelektryfikowano — 1200 wsi.

W 1951 roku jest już zelektryfikowanych — 13.000 wsi, 1500 spółdzielni produkcyjnych i 2500 PGR.

W najbliższych latach ma być osiągnięta całkowita elektryfikacja wsi. Na pewno wtedy książki w tak licznych już bibliotekach gminnych i w punktach bibliotecznych nie będą służyć, jak często jeszcze teraz służą, do sprawozdań statystycznych, lecz swemu właściwemu przeznaczeniu.

Drugi przykład:

W 1938 roku na 100 ludzi ze wsi szło 47 osób na służbę domową, 47 osób do różnych prac dorywczych, 6 osób do przemysłu.

W 1953 roku na 100 ludzi wychodzących ze wsi szło: 60 osób do przemysłu, 9 osób do komunikacji, 9 osób do aparatu państwowego, 15 osób do rzemiosła, 7 osób do pomocy domowej.

Jakie odwrócenie proporcji. Jakie konsekwencje społeczne. Blisko połowa wychodźstwa ze wsi do miast w Polsce przedwrześniowej — to kandydatki na wiecznych „kocmołuchów" i „garnkotłuków", obsługujących zdegenerowanych, często burżuazyjno - obszarniczych „Jaśnie Państwa". Blisko druga połowa to ludzie węszący za ochłapem jakiegokolwiek zarobku, degenerujący się fizycznie i psychicznie w jarzmie dżunglowych stosunków kapitalizmu.

Jednak pisząc to i myśląc nad zasięgiem tych liczb uprzytamniam sobie, jak wielki wpływ ma struktura klasowa na twórczość pisarzy i artystów. Mimo wszystko, pomimo wielu szlachetnych postaci naszych pisarzy z okresu 1919 — 1939, wymowa tych liczb i konsekwencje z tego wynikające nie miały takiego odbicia w ówczesnej literaturze jak tego wymagał ciężar gatunkowy tych spraw.

Widzicie, jakie to nie rolnicze refleksje wywiozło się z Wystawy Rolniczej. Jeżeli to pisanie ominie kosz redakcyjny, to chciałbym podzielić się jeszcze jedną refleksją natury pozarolniczej.

Jest salka na wystawie, w której umieszczono dwa kontrastujące z sobą modele. Wnętrze chałupy wiejskiej dawniej — i wnętrza izby obecnie. Stałem dłuższą chwilę nad tymi modelami osobiście, umyślnie obserwowałem zwiedzających, zarówno grupy jak pojedyncze osoby. Tu jednak przypomniał mi się pewien zwrot przysłowiowy: „Nie pieprz Pietrze wieprza pieprzem, bo przepieprzysz..." itd. Stanowczo protestuję przeciw twierdzeniu, iż taka była typowa izba chłopska w Polsce przedwrześniowej. W tym wypadku projektant tego „przepieprzył". Bo czy niezbite fakty o nędzy wsi, o niskiej stopie życia, o braku pracy mają się identyfikować z mieszkaniem o wyglądzie budy jaskiniowców? Wcale nie. Nawet przewodnicy urzędowi z zażenowaniem dobierali słów, aby jakoś określić, co to właściwie ma przedstawiać takie wnętrze izby. Moim zdaniem, przedstawiałoby ono patologiczny obraz niechlujstwa, brudu, ale nie biedy. Bieda bardzo często mieszkała i niestety czasem jeszcze i teraz mieszka i w schludnym mieszkaniu, choć może być głodno i chłodno. Jakże to pogodzić logicznie — izbę o wyglądzie jaskini, z ohydnym łóżkiem, z klocowatą ławą, z rozwalającym się piecem, z zapadającym się sufitem, pełną brudu — z obrazem sąsiedniej sali, gdzie wystawiono eksponaty sztuki ludowej, jak ceramika, stroje, sprzęty. Wprost nie do pomyślenia, żeby ludzie mieszkający przeważnie w jaskiniowatych izbach, po kolana w brudzie, mogli być jednocześnie twórcami tych śliczności, które są pokazane jako dzieło ich rąk i umysłów.

Przecież na te wystawione chłopskie skrzynie, kufry, w ogóle nie ma miejsca w tej również chłopskiej izbie.

Tak samo, proszę mi wierzyć, ten rzeczywiście schludny model „nowoczesnej" izby chłopskiej również nie odzwierciedla tego co jest.

Widziałem szereg wybudowanych po wojnie domów na wsi, a tego staroświeckiego okapu nad kuchnią nie spotkałem, tylko zwykłe kuchnie kaflowe, spotykane w każdym domu miejskim. Zresztą nie wiele budowano tak już przed wojną. Pamiętam jeszcze opowiadania zwiedzających z Wystawy Ziem Odzyskanych we Wrocławiu. Tam również był wystawiony model chaty wiejskiej (uważam, iż to słowo powinno wyjść z użycia na rzecz słowa: dom). Wszyscy zwiedzający chłopi byli zgodni w tym, iż ten model to raczej skromne pokazanie przejściowego stylu budowy dostosowane do zniszczeń powojennych, a nie pokazanie nowoczesnego mieszkania choćby na wsi. W tym wypadku ambicje ludności wiejskiej są większe niż to pokazują modele wystawowe.

Więc co do tego budownictwa mieszkaniowego, to moim zdaniem był to „zgrzyt żelaza po szkle" w dość zharmonizowanej kompozycji wystawy mieszczącej się na Zamku.

Zejdziemy teraz na dół, do właściwych pawilonów i stoisk z eksponatami rzeczowymi. Wystawa została zorganizowana w tempie bardzo szybkim. Toteż trzeba widzieć nie tylko eksponaty wystawowe, ale i cały ogrom prac technicznych, przygotowujących teren wystawy i jej techniczne zaplecze.

Przecież takie zmontowanie automatycznych poideł w pawilonie stajennym i oborowym już wymagało zainstalowania całej skomplikowanej sieci wodociągowej. Tak samo zelektryfikowanie całego terenu Wystawy. Osobiście przewodnika po wystawie nie potrzebowałem. Nawet kilkakrotnie brano mnie za kogoś z personelu Wystawy, w związku z czynionymi komentarzami. Naturalnie, Wystawa taka ma dni o dużym nasileniu frekwencji.

Podczas mojego pobytu akurat nie było nadmiernego tłoku, ale nie było też pustki. W sam raz najlepiej. Gdyby okazy żywego inwentarza, jak wspaniałe krowy, konie, owce, świnie, były tylko jedne i te same na Wystawie, to powiedziałbym, że pomimo wybitnej jakości poszczególnych sztuk — reprezentacja hodowli w Polsce byłaby uboga i ograniczona tylko do niektórych terenów. A na pewno każdy rejon gospodarczy miałby się czym pochwalić.

Poinformowano mnie jednak, że inwentarz wystawowy żywy, zwłaszcza krowy i konie, jest zmieniany co dwa — trzy tygodnie. W ten sposób przez czas trwania Wystawy rzeczywiście przewinie się przez jej pawilony dorobek polskiej hodowli z całego kraju.

Jeszcze przed wyjazdem słyszałem pogaduszki: „Chłopskich wystawców nie będzie. Zawalą z PGR, trochę ze spółdzielni produkcyjnych i kwita". Nieprawda. Wśród najładniejszych krów, oglądanych przeze mnie na Wystawie w dniu 11 sierpnia, były dwie krowy ob. Jadwigi Grześkowiak z Siedlec, powiat Gostyń, woj. poznańskiego.

Oto „personalia" jednej z nich:

Krowa „Alina" Nr I 12177. G. urodzona 5.10.1946. Mleczność z 1952 r. — 5068 kg mleka o 3,4 proc. tłuszczu, mleczność z 1953 r. — 5631 kg. mleka o 3,37 proc. tłuszczu.

Oznacza to produkcję 170 — 180 kg. masła od jednej krowy rocznie (dla ewentualnych czytelników z miasta wyjaśniam, iż dochodem czystym z tego dla ob. Jadwigi Grześkowiak jest dopiero to, co zostaje po odliczeniu wartości zjedzonej przez krowę paszy, kosztów pielęgnacji krowy i kosztów przeróbki tego mleka na masło).

Mimo tej nawiasowej uwagi mogę zaręczyć, iż koszt produkcji jednego litra mleka jest przy tym udoju znacznie niższy, niż koszt produkcji jednego litra u krów dających w najlepszym wypadku 1200 — 1500 litrów rocznie. Niestety

(Dokończenie na str. 2)

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI

Z „NOTATNIKA WARSZAWSKIEGO"

Rys. Marek Rudnicki

Sławię Wolę

Nie wiem, co to być albo nie być,
od którego wam wola mięknie,
stoję twardo i biję się, żeby
tylko być — i być lepiej i piękniej!

Sławię słońce, człowieka i ziemię,
wyzwolony z pęt sławię trud,
sławię wolność i dzieło człowiecze,
i ojczyznę i ludzkość i lud.

Sławię miasto moje rodzinne,
dla którego krew oddałbym z żył,
Wisłę sławię i sławię Warszawę
i Powiśle, gdziem kochał i żył.

Sławię Wolę warszawską, hardą,
jej kominów wesoły dym,
robociarską Wolę upartą
i Ochotę — i dobrze mi z tym!

Być... Być — to mój program i cel:
żyć szlachetnie i coraz wspanialej,
kiedy trudno — to brać na kieł
i wciąż dalej iść i wciąż dalej!

Tu mój ojciec

Tu mój ojciec spoczywa, tu — żona,
tu jest moja rodzinna strona.

Na wojskowych Powązkach — tu może
i ja kości na starość złożę.

Stąd zbir matkę mą pędził przecie,
nim jej prochy wiatr rozniósł po świecie.

Jakżeż więc mi, kochani, stąd odejść,
gdy tu moja spoczywa młodość?!

Podanie do Józia Sigalina

Mieszkaliśmy na Nowogrodzkiej
17 — na czwartym piętrze,
centralnego jak teraz nie miałem,
za to serce — o wiele gorętsze.

Nic dziwnego: byliśmy młodzi
i wesoło świat nam się złocił.
Gdy na czwartak wstępował Mikołaj,
w oknach kwitły świętojańskie paprocie,

Ale przyszedł z benzyną faszysta
i pożarem w okno zaświecił.
Resztę losy zburzyły niedobre.
I została tylko garść śmieci.

Architekcie Naczelny Warszawy,
wal po linii kumoterstwa co żywiej
i odbuduj mi ten dom z oficyną,
gdzie tak bardzo byłem szczęśliwy!

Rozmowa z gosposią

Gosposiu! to nieprawda, że nic się nie zmienia,
odkąd On ustanowił wszystko w dniu stworzenia.

I nieprawda, złocista, że to prawo boże
wiąże świat i że człowiek zmienić go nie może.

Że z jednego źdźbła jeden tylko kłos być musi?
Z jednego źdźbła trzy kłosy już mają na Rusi.

W jedną stronę płynęła wciąż rzeka przez wieki,
a człowiek twardą ręką odwrócił bieg rzeki.

I gdzie kiedyś milczała pustynia przed laty,
dzisiaj dzwoni trójkłosem łan i pachną kwiaty.

Co za czyjąś masz wolę, to jest ludzka sprawa.
Już nie było Warszawy — i znów jest Warszawa.

Tak, gosposiu! nie darmo my tu gospodarze:
ziemia musi się kręcić, jak jej człowiek każe!

Wisło, rzeko domowa

Wisło, rzeko domowa, czyś ty kiedy widziała
takie tu domy?
Żeby wieża nad miastem do księżyca sięgała?
Żeby dom był jak Kościelec ogromny?

Wisło, rzeko domowa, czyś ty kiedy słyszała
tyle wesela?
Żeby w sercu człowieka, kiedy oczy odmyka,
grała złota kapela?

Wisło, rzeko domowa, czy choć trochę pamiętasz
krew żołnierską w twej wodzie?
Że na brzegu wysokim była cisza i cmentarz
tu, gdzie dzisiaj niedziela co dzień?

Że to myśmy bez skąpstwa dla tej chwili krew lali
w twój strumień?
Żeśmy domy stawiali, żeśmy pola zorali,
żeby człowiek żył tu jasno i dumnie?

Wielka rzeko domowa, dziś się tamto od n.
wszystko powtarza.
I dlatego ta radość. I dlatego te słowa
jakby z karty zdartej z kalendarza!

O Lubelskiej Wystawie — po gospodarsku

(Dokończenie ze str. 1)

tych krów jest jeszcze w Polsce większość.

Krowy ob. Grześkowiakowej, ob. Franciszka Lisa z Janowa woj. gdańskie, wspaniałe krowy z Okocimia i ze spółdzielni prod. Kokoszkowy pow. Stargard, woj. gdańskie, to przedstawicielki sławnej mlecznością rasy nizinnej.

Skromniejsze trochę w litrażu mleczności jest nasze rodzime czerwone bydełko. Ale i tu Wystawa prezentuje nam czerwone krowy, które przy pomocy swych „paszodawców" bardzo daleko „przekroczyły" plan normy udojowej — 1800 litrów, nakreślony dla tego działu gospodarki przez ostatnie wytyczne KC PZPR.

Oto krówka „Cierpliwa" hodowli ob. Bolesława Kaczyńskiego ze wsi Rzym, powiat Wysoko - Mazowiecki. Proszę bardzo. Mleczność w 1953 r. — 4021 kg. przy 4,1 proc. tłuszczu. To znaczy przeszło 160 kg masła rocznie. Utrzymanie tej „wytwórni" masła na pewno tańsze, niżeli firmy „Alina" u ob. Grześkowiakowej.

Jej kuzynka po maści, zgrabna, czerwona krowa „Anna" hodowli ob. Teodora Szkudlaka z Miejskiej Górki powiat Rawicz spisuje się jeszcze lepiej: w 1953 r. oddała 5680 kg mleka o 3,9 proc. tłuszczu.

Nauka i technika wdziera się bez pretensji do „najintymniejszych" spraw zwierzostanu hodowlanego.

Sensacja pawilonu bydlęcego: grupa kilku młodych buhajków z PGR Racota, woj. poznańskie. Wszystkie wyrośnięte, zdrowe — pochodzą ze sztucznego unasieniania i są żywą reklamą nowoczesnej metody w rozmnażaniu hodowlanym.

Sapie z gorąca i mimo swych kolosalnych kształtów łagodnie spogląda na zwiedzające mrowie ludzkie zarodowy buhaj ze spółdzielni produkcyjnej Kokoszkowy, „Atom". Waga tego kolosa — 1037 kg. Niektórzy trwożnie pytają: „A co by było, gdyby się urwał z uwięzi?" Sądzę, iż byłoby tylko trochę sensacji naokoło pawilonu. Buhaje dobrze traktowane przez obsługujących, nie bite, są na ogół łagodne. Choć jednak... przecież to „Atom". Lepiej niech się już nie urywa.

W nowoczesnym rolnictwie koń odgrywa jeszcze poważną rolę, zwłaszcza u nas. Jednak z każdym miesiącem ta „rola" maleje. Melancholijnie to stwierdza wszędobylska piosenka sezonu „Wio koniku".

Może to i lepiej dla konia. Koń jako gatunek nie zaginie z powodu motoru. Gdy samochód przestanie być luksusem dla przeciętnego obywatela, a stanie się zwykłym sprzętem komunikacyjnym, to wtedy na reprezentacyjnych defiladach państwowych na pewno z powrotem zajmie swe miejsce koń. Na pewno znikną konie furmańskie, konie-nędzoty chłopskie, pozostanie koń żyjący swobodnie, wspaniały zwierz i zarazem łagodny. Przyszłe społeczeństwo na pewno będzie stać na koszt utrzymania pewnych zwierząt, bez wyrachowania ile będzie za skórę, ile za kości, ile za mięso, a ile za eksploatację siły roboczej. Ot, tak dla towarzystwa i dla estetycznego zadowolenia. Właśnie koń jest takim parkowym zwierzęciem, którego motor nie wygubi.

Te może dla kogoś anachronistyczne myśli, to właśnie moje wrażenia z pawilonu końskiego Wystawy. Wystawa ma przecież specjalne przeznaczenie praktyczne. Jest przeznaczona przede wszystkim dla nauki wielotysięcznych tłumów zwiedzających chłopów. Drobnorolny chłop z natury swej nie był i nie może być hodowcą wyścigowych anglo-arabów. Dlatego i konie wystawowe to przede wszystkim poglądowa lekcja, w jakim kierunku ma iść hodowla koni obecnie. Na pierwszym planie wszechstronna użytkowość robocza, z zachowaniem zdolności do szybkiego poruszania się. Takie konie łączą w sobie harmonijnie te dwie cechy, są materiałem wystawowym. Zarówno ogiery „Ambasador" i „Łysy Pan" ze stadniny państwowej w Racocie, jak ładne konie lubelskich chłopów. Mnie, przyznam się, szczególnie się spodobała śliczna para koni sądeckich z okolic Nowego Sącza. Kare, wyrównane w budowie przedstawiały się naprawdę pierwszorzędnie.

Miło zobaczyć, że są w Polsce ludzie, i nie mało ich jest, którzy w dziedzinie hodowli są nie mniejszymi przodownikami pracy i mistrzami rekordów niż fachowcy w przemyśle i budownictwie.

Coś jeszcze godnego uwagi — to owce. Wspaniałe długowełniste merynosy z PGR Mrozowo, woj. bydgoskie, niewiele im ustępujące owce chłopów z indywidualnych gospodarstw w Łowickiem, skromniejsze w budowie, ale i mniej wymagające owce z Podhala, to również pewnego rodzaju egzotyka wystawowa. Nawet ładny pies-owczarek tatrzański ma swoją wystawową budkę.

Najmniej mam do napisania o tak ważnych świnkach. Nie dlatego, aby wystawione nie zasługiwały na uwagę. Raczej dlatego, iż piękne okazy macior widziane na wystawie nie są według mnie taką rzadkością w gospodarstwach zarówno uspołecznionych jak indywidualnych. Daleko prędzej spotyka się po wsiach ładne maciorki i opasy niż ładne krowy i konie.

Natomiast apartamenty naszych wystawowych świnek mogą wiele nauczyć wycieczkowiczów. Jakie to wielkie udogodnienie w pracy hodowlanej: należyta konstrukcja chlewni, prosta a wygodna.

Cóż jeszcze? Pozostaje t.zw. drobiazg hodowlany. Drób, króliki, futerkowe lisy. W pośpiechu organizacyjnym, zdaje się, potraktowano te działy trochę po macoszemu. Są kurniki, jest nawet stawek, na nim stadko gęsi, jest pawilonik ładnych królików, ale za mało to wszystko uwypuklone liczbowymi danymi, tablicami kalkulacji kosztów hodowli itp. Przecież to są działy gospodarki rolno - hodowlanej szczególne odpowiednie dla mało- i średniorolnych chłopów — i właśnie najmniej znana jest chłopu ekonomiczno - kalkulacyjna strona tych działów hodowli. Ze zrozumiałych względów nie mogło być na wystawie uli, ale mogłyby być eksponowane tablice przedstawiające możliwości tej dziedziny gospodarki hodowlanej, mającej jednocześnie tak wielki związek z produkcją roślinną (zapylanie).

Tak samo nie ma żadnych tablic przy bardzo skromnym stoisku rybnym z PGR Krzesimów. Nie więcej jak z dziesięć sztuk ryb — to całe stoisko. A przecież nawet z dekoracyjnych względów można by stworzyć z takiego pawilonu atrakcję Wystawy. Baseny z wodą, ryby, trochę elektrotechniki — pawilon jak z bajki. A tak, to cóż — stoi na uboczu taka sierota i jak stanie 10 ludzi, to już zasłonią wszystko.

Tu skończylibyśmy naszą wędrówkę po pawilonach hodowlanych Wystawy. Są one najbardziej przepełnione zwiedzającymi, nie tylko chłopami ale często również mieszczuchami.

Pawilon weterynaryjny wydał mi się zbyt... akademicki. Sporo różnych narzędzi lśniących chromoniklową i stalową powierzchnią, a trochę za mało komentarzy do tych narzędzi.

Estetycznym urządzeniem, śliczną „polichromią" opartą na motywach ludowych (tworzonych zapewne w tej „jaskiniowej" chałupie — uwaga tylko dla redakcji) wyróżnia się obszerny pawilon nasiennictwa. O ile się zorientowałem, pawilon ten reprezentuje IHAR — Instytut Hodowli i Aklimatyzacji Roślin. Nic dziwnego, że pawilon ten ja przynajmniej osądzam jako najpiękniej i najgustowniej urządzony na całej Wystawie. Przecież Dyrektorem IHAR jest ob. Jadwiga Lekczycka, wybitny naukowiec i do tego poseł na Sejm. Znać więc w urządzeniu pawilonu kobiecą troskę nie tylko o to, żeby coś było, ale żeby ładnie było. Z estetyką pawilonu konkurują skutecznie jego rzeczowe urządzenia. Nie da się, niestety, stwierdzić tego o pawiloniku — nie pawilonie — ogrodnictwa i sadownictwa. Mimo iż nie jestem specem w tej dziedzinie, to jednak — jak to się mówi — „całą skórą" odczuwa się, że coś tu nie „klapuje". Zarówno ozdobienie wnętrza jak samo techniczne wyposażenie pawilonu jest nieefektowne, nawet — jak na Centralną Wystawę — za ubogie. A przecież nowoczesne sadownictwo jest tak ciekawe pod względem biologicznym i techniki prowadzenia.

Park maszynowy Wystawy zajmuje całą jedną stronę płaszczyzny przyzamkowej. Oprócz głównego skupiska pojedyncze eksponaty rozrzucone są po terenach całej Wystawy.

Jak przystało w dobie rolnictwa przechodzącego do gospodarki zespołowej, najciekawsze maszyny to bez wyjątku — przystosowane do napędu motorowego. Potężne pługi melioracyjne, wykonujące pracę za 200 ludzi w ciągu 8 godzin, konstrukcji inż. Stanisława Kolasińskiego z Nakła. Kombajny żniwne, wykonane całkowicie w Fabryce Maszyn Żniwnych w Płocku, snopowiązałki, młocarnie itp. ciężki sprzęt maszynowy. Bynajmniej nie brak też maszyn mniejszych, odpowiednich dla gospodarstw indywidualnych. Są nawet wystawione różnych typów kieraty konne produkcji lubelskiej i innych fabryk. Piszę „nawet", bo kierat to przecież typowa maszyna dla małych gospodarstw. Zwykle od kieratu zaczyna chłop mechanizację swej gospodarki.

Największą sensację budzą oczywiście kombajny. No, bo proszę pomyśleć. Maszyna, która jednocześnie tnie zboże, młóci, czyści, tak iż z pola zbiera się w dniu sprzętu worki z gotowym zbożem (te worki to przenośnia. bo zwykle zboże z kombajnów ładuje się na dostosowane platformy samochodowe).

Uprzejmy kombajner jest oblężony. Ciągle zapuszcza motor, uruchamia maszynę, naturalnie bez biegów, wyjaśnia, pokazuje wycieczkowiczom chcącym wszystko wiedzieć „dokumentnie" A pytania padają bardzo nawet wnikliwe. Czasem i kombajner jest w kłopocie. Właśnie przy tych kombajnach refleksja:

Przebudowujemy nasze rolnictwo. Dźwigamy je na wyższy poziom techniki, wydajności, a co najważniejsze, przechodzimy do nowych form organizacyjnych rolnictwa. Takie formy, które gwarantują, iż kombajn będzie nie tylko maszyną wystawową, ale maszyną na codzień w każdorocznej akcji żniwnej. Każdy myślący chłop, choćby miał różne uprzedzenia, w jego położeniu często zupełnie zrozumiałe, po obejrzeniu tych kombajnów, siewników traktorowych, maszyn — czyszczalń zboża, kopaczek, młocarń itd. itd., musi nieuniknienie dojść do wniosku, że dopiero wtedy te zdobycze techniki będą mu pomocne i odciążą go od przytłaczającego trudu fizycznego, często tak mało wydajnego, gdy wejdzie na drogę nowych form organizacyjnych rolnictwa w spółdzielni produkcyjnej.

Przecież, proszę Was, jeźdźcie tylko koleją na linii Kielce — Częstochowa. Sam widok z okien wagonu jest wprost niemożliwy do przyjęcia dla nowoczesnego rolnika. Całymi kilometrami ciągną się smugi pól pokrajanych miedzami. Często odległość od miedzy do miedzy nie wynosi nawet 10 metrów. Przecież gospodarować na takich parcelkach to istna rozpacz. Tam bezsilny jest agronom, bezsilna maszyna, a co energiczniejsze jednostki za trud swej pracy nie mają nawet połowy tego dostatku, jaki mogłyby przy tej samej pracy mieć przy zorganizowaniu się w spółdzielnię produkcyjną. Na pewno z takich okolic i im podobnych nie wiele eksponatów trafi na Lubelską Wystawę Rolniczą, a może i nic nie trafi.

Na zakończenie pewne marginalia wystawowe pozarolnicze. Usprawiedliwiam te marginalia tym, iż piszę nie do „Przeglądu Hodowlanego", lecz do „Nowej Kultury".

Trudno byłoby mieć pretensje do tego, iżby Wystawa wychodziła poza ramy swej specjalności. Ale... rzeczywistość społeczna jest powiązana z sobą tysiącznymi nićmi. Rolnictwo z twórczością kulturalną również. Sam moment obecności na Wystawie setek tysięcy chłopów, młodzieży, na pewno tysięcy robotników, inteligencji, stwarza niezwykłą okazję do pokazania dorobku kulturalnego dziesięciolecia.

Nie wyznaję się dobrze w tym, ale zdaje mi się, że takiego przedsięwzięcia jak Lubelska Wystawa Rolnicza nie oblicza się wyłącznie pod kątem widzenia opłacalności finansowej. Wystawa jest na to, aby najwięcej można z danej dziedziny ludziom pokazać i żeby jak najwięcej ludzi mogło zobaczyć przeznaczone na pokaz eksponaty i urządzenia.

Dlatego na Wystawie powinien być znacznie lepiej zorganizowany dział, w którym można by się zapoznać z dorobkiem naszym w dziedzinie kulturalnej. Duży, gustownie urządzony pawilon, pełen książek, albumów, odlewów rzeźb, obrazów (nawet by nie szkodziło wypożyczyć coś z Chełmońskiego, *koniarza* Michałowskiego itp.).

Na pewno ktoś się żachnie i powie — a kto te książki rozkupi, kto te obrazki będzie oglądał i albumy.

Takiemu odpowiem: „Drogi Panie, wcale nie chodzi o to, czy kto kupi. Chodzi o to, żeby były na Wystawie do zobaczenia". Niech, przypuśćmy, na pół miliona zwiedzających przejdzie przez taki pawilon sto tysięcy a zwłaszcza młodszych osób, to już trud i koszty takiego pawilonu będą sowicie zapłacone. „Wyrabiamy dobre masło, bo młodzież nasza rolnicza czyta poetów" — mawiali już dawno Duńczycy. Sam zaobserwowałem obywatela, który przechodził obojętnie na Wystawie koło stosu ulotek i broszurek, a kupił na mieście śliczną nowość, choć nie fachową dla niego: „Krajobrazy Polski" Jarosza za kilkadziesiąt zł. A właściwie ta nowość powinna być w takim „kulturalnym" pawilonie na Wystawie. Choćby jej nawet nikt nie kupił.

Tymczasem jak jest? Owszem, jest po kilkanaście książek i broszur w niektórych pawilonach z przedmiotu ich specjalności.

Jest stoisko Państwowego Wydawnictwa Rolniczego i Leśnego, schowane gdzieś na boku. Chciałem nabyć tom „Roczników Nauk Rolniczych" z pewną interesującą mnie monografią. W odpowiedzi stereotypowe: „nie mamy" — jak w jakim MHD.

No i oprócz właściwej wystawy jest kiermasz. Szereg stoisk z różnymi towarami codziennego użytku: tekstylia, naczynia, kosmetyki; wciśnięty między te stoiska jest dłuższy stół z kilkudziesięcioma bez specjalnego wyboru ułożonymi książkami jako reprezentacja „Domu Książki" na Centralnej Wystawie Rolniczej w Lublinie.

Darujcie. Taki mniej więcej stół i o takim mniej więcej wyborze a nawet może trochę lepszym był w zeszłym roku na Jarmarku Rolniczym w Jędrzejowie.

Dlaczego o tym piszę? Dlatego, że odczułem to jako duży mankament wystawowy, uderzający wprost jakimś niemiłym zgrzytem. Ostatecznie ta forsowna batalia o nasze rolnictwo jest prowadzona nie tylko dla lepszego i obfitszego jedzenia. Wzrost stopy życiowej łączymy nierozdzielnie ze wzrostem zainteresowań kulturalnych, twórczości kulturalnej i spożycia owoców tej twórczości. Jesteśmy w trakcie intensywnego wychowywania się na społeczeństwo socjalistyczne i nie powinniśmy pominąć żadnych okazji do oddziaływania kulturalnego, zwłaszcza jeżeli chodzi o dość jeszcze nie zaangażowaną pod tym względem wieś.

Reasumując jednak wszystko, co dotyczy wrażeń z Wystawy, trzeba stwierdzić, iż jest ona jednym z najlepiej udanych przedsięwzięć pokazujących i podsumowujących osiągnięcia Dziesięciolecia Polski Ludowej na tak ważnym, trudnym i ogromnie przez wojnę zrujnowanym odcinku gospodarki narodowej, jakim jest rolnictwo.

Piotr Ożarowski

Tam też żyją ludzie

Letnie rozjazdy prowadziły mnie szlakiem małych miast. Małe miasta — te, które nie zyskały sławy kuratorów, jak Kazimierz nad Wisłą, lub po prostu nie stały się modne, rzadko bywają odwiedzane przez turystów. Zahaczają o nie ci tylko, którzy w miejscowościach o dawno zagasłej świetności — Pinczowie, Szydłowie lub Opatowie szukają zabytków sztuki. Od małych miasteczek odstraszają literackie wizje: szyny pociągów, na które patrzył smętnie Piotr Płaksin, uskoki szosy, które niepokoiły Abdona w noweli Iwaszkiewicza, szlaki wskazujące jedynie drogi odjazdu z Chandry Unyńskiej i Malin.

Przyjezdny staje na bruku małomiasteczkowego rynku z całym balastem literackich uprzedzeń w głowie — powszedniość, nostalgia, beznadzieja...

Wymowa jednak cech zewnętrznych, szczególnie, gdy patrzy się na nie z okna autobusu i nie dość bystro, jest złudna. Bo gdzie jak gdzie, ale właśnie w tych małych miasteczkach widać bardzo wyraźnie znamiona pogłębiającej się rewolucji mniej może niż gdzie indziej efektowne, lecz za to gruntowne, nieodwracalne. Wynika to przede wszystkim ze zmian zachodzących na wsi. Z chwilą, kiedy ofensywa socjalizmu obróciła się na wieś, ranga miasteczka — terenu najbardziej bezpośredniego kontaktu dołowych komórek władzy ludowej ze wsią — wzrosła niepomiernie. Dla ludności wsi ludowa władza to przecież nie tylko, a nawet nie w pierwszym rzędzie jej centralne organa w Warszawie, ale najbliższa Rada Narodowa, komitet partyjny i zarząd gminnych spółdzielni. Ta zmiana „sytuacji społecznej" nie pozostaje, rzecz jasna, bez wpływu na charakter miasteczek, na ich wyraz. Już sam fakt, że na rynku zamiast nędzarskich sklepików dominują spółdzielnie, że opodal plebanii mieści się świetlica, że coraz mniej młodzieży snuje się z rękami w kieszeniach po rynku, wyjeżdżają bowiem młodzi do szkół lub też zajęci są pracą — wszystko to musi wpływać i wpływa na atmosferę miasteczka. Mieszkając w Warszawie, mieście powstającym od nowa wraz z nową epoką, słabe ma się pojęcie, o tym, jak wyglądać może przełamywanie się nowych form życia w starych wedutach.

Natomiast małe miasteczka polskie w takiej np Kielecczyźnie — ziemi obfitującej na domiar w zabytki sztuki — prezentują je na każdym kroku. A więc zostało tu prawie wszystko z dawnego kolorytu; i te wielogodzinne wystawania w bramie domu lub oknie, żeby „widzieć wszystko", i najbardziej niepraktyczny w tych warunkach, ciężki i ciemny garnitur na niedzielę — odblask salonowej elegancji, która na ulicy kończącej się polną drogą traci resztki sensu — i piękny zwyczaj zabaw w remizie strażackiej. Zostały typy ludzkie, został obyczaj. A przecież jednocześnie nie może ulegać wątpliwości, że zmienili się ludzie, tempo, sens ich życia. Powstała więc z tego jakaś mieszanka, która — nie zawaham się powiedzieć — jest jedną z najwyrazistszych syntez współczesności — oparta o tradycję, o dawny, indywidualny klimat i napełniona, napełniająca się nową treścią.

Objeżdżając te miasteczka i mieściny nieraz myślałem o filmie. Filmie, który tego wszystkiego nie pokazał, nawet nie próbował pokazywać. Nie byłem zresztą w tych rozmyślaniach samotny. Towarzysze moich rozjazdów — młodzi historycy sztuki, a więc ludzie, dla których myślenie o filmie nie stanowi obowiązku, albowiem film, jak wiadomo, nie jest poważną sztuką, nieraz zaczynali sobie o filmie przypominać. Takim filmie, w którym, jak u Włochów czy we francusko-włoskich „Murach Malapagi" z Jean Gabin, współczesna akcja podeprzeć by się mogła swoistym miejscowym klimatem, a może jakimś charakterystycznym zabytkiem sztuki w tle (któż z widzów filmowych nie pamięta pięknie wygranych rozwalin klasztoru Malapagi w Genui stanowiących tło dla dość zresztą banalnego melodramatu).

W naszej kinematografii nie myśli się jednak o tych sprawach. Na tapecie jest albo Warszawa, jako że to najwygodniej, albo też miejscowość jakakolwiek, najlepiej z plażą (jeśli w lecie) lub terenami zjazdowymi (jeśli zimą). To nie są żarty. Tak niestety bywa; nikt nie kręci filmów w miejscowości N. dlatego, że w N. znalazł coś takiego, czego nie ma w całej Polsce, że o N. właśnie mu chodzi.

Dla wielkich zaś mistrzów filmu wybór miejsca akcji nie jest nigdy drobnostką. Jestem pewien, że nie tylko wierność historii, ale również poszukiwanie potwierdzenia dla artystycznej wizji, wzmocnienia jej, zaprowadziło Eisensteina do Nowgorodu, De Santis zaś, ilekroć czuje, że traci twórczy oddech wraca do rodzinnej Ciociarii i stamtąd bierze nowy rozpęd.

Wśród tych rozważań o krajobrazie byłbym jednak przeoczył jedną jeszcze sprawę. Otóż zauważyłem, że w małych miasteczkach żyją ludzie. Zdarzało mi się spotykać tam dołowych (śliczne słowo!) pracowników aparatu państwowego i społecznego, fachowców z wyższym wykształceniem, którzy dostali pracę na prowincji, starych „tubylców", młodzież. Jak żyją ci ludzie? Jakie są ich problemy, konflikty? Czy zawsze — w myśl literackich recept — człowiek o pewnych kwalifikacjach lub ambicjach mieszkający na prowincji to bankrut życiowy? I kiedy oraz dlaczego tak, a kiedy nie? Takie pytania można by mnożyć.

Bo, proszę państwa, tam zdaje się są tematy o jakich nie śni się nam nawet na najnudniejszym seansie kinowym. Popytajcie o to literatów, którzy jeżdżą w teren, i reporterów, którzy terenem żyją, i przed którymi, z tego to powodu, chylę czoło

Józef Styczeń

LEON PASTERNAK

Dziewczyna z Częstochowskiej Huty

Grom się za gromem przewala!
Biją młoty coraz gwałtowniej.
W iskier rozgwiazdach — hala
częstochowskiej stalowni.

Dźwig kłapie chciwą paszczęką,
z przęseł stropu wypełza po szynach.
Stanowczą, pewną ręką
prowadzi go wiejska dziewczyna.

Jakby krasulę swoją
do wodopoju gnała,
jakby chrust do podołka
w pobliskim lasku zbierała.

We wsi swojej na pewno
była nie najmocniejsza,
tu — jednym obrotem korby
tony podnosi z miejsca.

Kolczyki ma — niezabudki,
turkusy niebieściutkie,
i znaczek zetempowski
na bluzce, w miejsce broszki.

Nie ona jedna, z tysięcy,
powędrowała do miasta,
nie dla niej jednej, z tysięcy,
sczezła dola biedniacka.

Iść nie musiała, jak niegdyś,
na powróz kupców, dziedziców,
nie będzie niczyją kuchtą,
służącą i niewolnicą.

Teraz przekracza plany,
gazeta o niej pisze,
jutro może do sejmu
wybiorą ją towarzysze.

Dzisiaj jest robotnicą,
wkrótce będzie — majstrem,
nauczy się współrządzić
hutą swoją, państwem.

A jeszcze przed pół rokiem,
nieufna słowom naszym,
stała przed huty progiem
i bardzo bała się maszyn.

CZESŁAW MICHNIAK

N I E N A W I Ś Ć

Szoferem autobusu PKS, zdążającego onegdaj rano do P. był klocowaty mężczyzna ubrany w kanadyjkę koloru kakao, spod której wymykała się błękitna, trochę przybrudzona sportowa koszulka. Siedząc z boku, przy oknie, widziałem jego łagodny profil. Niebieskie oczy, głęboko osadzone w owalnej twarzy, wyrażały dobroduszne zamyślenie, którego nie przerywał nawet taniec wozu na wyboistej drodze.

Osób w samochodzie było niewiele. W drugim rzędzie skórzanych foteli starszy człowiek o wyglądzie emerytowanego kancelisty w sztruksie na ramionach i myszatych rurach bez kantów, spał z otwartymi ustami, wchłaniając w siebie powietrze przesycone odorem benzyny. Obok kobieta w okularach patrzała ciągle w ten sam punkt, przed siebie. Oczy jej za wypukłymi szkłami zdawały się wychodzić z orbit. Z tyłu rozmawiało dwóch chłopów w wygniecionych ubraniach. Słowa ich głuszył szum motoru i klekot metalowych części podstarzałego „Leylanda".

Wóz podskakiwał raźno na nierównej drodze, która przecinała pola, okryte żółtymi płachtami ściernisk.

Kierowca wyjął z kieszeni gruszkę, odgryzł z impetem spory kawałek, sok spływał po brodzie. Na umięśnionym palcu błyszczała złota obrączka. Wyobraziłem go sobie jak w wolnych chwilach spacerował po parku z żoną, tęgawą blondynką, niosącą przepisowy koszyczek. Wódkę pił umiarkowanie, za kobietami oglądał się tylko wtedy, kiedy nie było w pobliżu znajomych, którzy by donieśli. Poza tym miał teściową i 500 złotych na książeczce PKO: To wszystko, na co go było s t a ć.

Ocknąłem się. Wróciłem do rzeczywistości. Auto stanęło w Morawicy. Szofer oparł rękę o kierownicę. Zbliżył się doń konduktor, pokazując z widoczną radością jeden z tytułów na pierwszej stronie w gazecie, na co mężczyzna w kanadyjce wzruszył ramionami, wydąwszy lekceważąco wargi. Twarz jego zrobiła się momentalnie brzydka, odpychająca. Wziął pismo od konduktora, który ruszył ku drzwiom. Wlepił oczy w kronikę sportową.

Pojechaliśmy dalej.

Szerokie, wtopione jakby w siedzenie plecy kierowcy zasłoniły mi część szyby. Obok na sznurku dyndała torebka, do której — znowu przeniosłem się w krainę wyobraźni — żona, tęgawa blondynka włożyła dwa kawałki chleba z kiszką pasztetową.

Zbliżaliśmy się do wioski schowanej w zieleni sadów. Mijaliśmy właśnie tablicę z napisem „Wancerzów", kiedy w tejże samej chwili na czole szofera niby chmurka na pogodnym niebie pojawiła się pozioma bruzda. Rosła. Ukazały się nowe. Trzy, dziesięć, piętnaście... Znowu wydął wargi jak wtedy, gdy oglądał pismo. Znowu c o ś zakłóciło jego wewnętrzny spokój. Z rozmachem wyrzucił ogryzek gruszki przez opuszczoną szybę. Utonął w rowie, wyścielonym zakurzoną trawą. Widziałem jak gwałtownie zacisnął ręce na kierownicy. Mięśnie napięły się, żyły nabrzmiały, omal nie rozsadziły skóry. Złoto na serdecznym palcu świeciło krwawym blaskiem.

Ulica wiejska była pusta. Tylko z boku, niedaleko rowu, stał sobie biały piesek z kilkoma ciemnymi łatkami na korpusie. Przypatrywał się z czujną uwagą nadjeżdżającemu samochodowi. Merdał ogonkiem skręconym w obwarzanek. Czarny nosek błyszczał wilgocią. Czarne, inteligentne oczka taksowały pędzący domek na kółkach. Typowy wiejski kundel, pomyślałem, ot psina wybiegła na drogę i patrzy. Wzbudził we mnie sympatię, zapukałem przyjacielsko w szybę, ale oczywiście nie usłyszał, Wywijał ciągle ogonkiem, gdy wtem szofer dodał gazu i skręcił gwałtownie w bok, zagarniając psa, który zginął pod kołami, jakby zapadł się w otchłań. Rozległo się bolesne szczeknięcie. I to wszystko. Na drodze zakurzyło się, jakby pies otoczył się dymną zasłoną. Samochód zwolnił dzięki czemu zdążyłem jeszcze zauważyć chłopczyka, który z czymś na rękach biegł w kierunku chałupy, przykrytej słomianym dachem. Płakał.

Nikt z pasażerów nie zwrócił na ten fakt uwagi. Kancelista drzemał, mrucząc przez sen. Kobieta w szkłach oparła głowę o metalową poręcz fotela. Chłopi utkwili wzrok w przestrzeni pochłanianej przez samochód.

Chciałem wstać, podejść do kierowcy, sięgającego po następną gruszkę i spytać go: „Człowieku po coś t o zrobił? Dlaczego?"

Ale nie mogłem tego uczynić, ponieważ auto zatrzymało się na przystanku w Wancerzowie. Przy wejściu zrobił się tłok. Zagrodzono mi drogę. Unieruchomiono.

O n zapalił papierosa. Uśmiechnął się. Może była w tym uśmiechu satysfakcja, kto wie? Z r o b i ł tyle, na ile go było s t a ć. Wypuścił kłąb dymu i nacisnął sprzęgło. I znowu jego niebieskie oczy, głęboko osadzone w owalnej twarzy, wyrażały dobroduszne zamyślenie, którego nie przerywał nawet taniec wozu na wyboistej drodze.

Dopiero w P. dowiedziałem się, że w Wancerzowie przed kilku dniami powstała spółdzielnia produkcyjna,

Czesław Michniak

JÓZEF CZECHOWICZ

W PIĘTNASTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI

Z WIERSZY NIEZNANYCH

Dawniej

Szły lipy
gubiły kwiat
mały byłem żaglem łez nakryty
ale to się chyba nie zmieści
w rymami szytej
opowieści

Szły lipy
gubiły kwiat
uśnij nuciły sprzętów skrzypy
bębenek mój drewniany koń
w globusie zaklęty świat

nocą bezsenną naprzeciw łóżka
poruszało się duże okno wędrowało
zapadała się w otchłań poduszka
wicher porywał leżące ciało

wszyscy spali nie spały lęki
z lustra wynurzały się suche jak patyki
syczały maleńki maleńki
będziesz jak ojciec w szpitalu wariatów

nie można było budzić mamy
żeby powiedzieć to straszne
dobre lipy chodzą pod domem
sypią kwiatami
jeśli zasypią przerażenie zasnę

tak z głową żaglem łez nakrytą
płynąłem ciężko do świtu
a świt otwierał mi oczy
kwitł świat
cóż mi globus konik bębenek malowany
świeci matka siostra i brat

Rano tęcza na ścianie...

rano tęcza na ścianie odbita z lusterka
falisty brzęk zegara wydobywa na jaw
maj się ogrodem puszystym rozćwierkał
okno nawściąż otwarte prowadzi do maja

powiewają na izbie matki ciemne ręce
przebywają tęczowy refleks jak wodospad
widzę je nad obrusem starsze wciąż goręcej
ach te zmarszczki płonące niemyślaną groźbą
matko zbudzony patrzę z pod rzęs trawy
leżąc
matko twe siwe oczy płaczą nade mną czy
wiatr
jestem tu choć daleko na innem wybrzeżu
ja twój ostatni kwiat

tak mało wiesz o synu chodząca wśród
gromnic
dłońmi głową płomieniem spajam cegły
rymów
na oceanie żadnym nie będę mógł zapomnieć
smutnych matczynych oczu jesienniejących
dymów

ostatni u kolan twoich nuci
mówić cóż mówić drżeć z niemocy słów
żebyś młoda i piękna w uśmiech mogła
wrócić
znów

Wycinanki

usta milczą czy milczą czy za cicho nucą
słota pogoda słota pogoda
nogi chodzą wychodzą na drogę powrócą
tęskni do nich dębowa podłoga

późna jesień sad pusty ścierniska i role
biały jedwab obłoków twardym wichrem
zmięty
ręce tęsknią bez pracy spoczęły na stole
chcą instrumentu
a nożyce owczarskie na gwoździu wiszące
gdy je mądra dłoń chwyci rozcinają szarość
deszczu dnia bez koloru

* * *

po paryż londyn warszawę
wwierca się ogniem podkop
gaszą go salw kurzawy
głuszą go szarże podków

z niezapisanych przyczyn
sztandary pięście rosną
pęcznieje ogień syczy
pachnie groźbą i wiosną

trzęsie już gruntem jak mina
niejeden pobladł parlament
patrząc trwożnemi oczyma
na dymiące rany i szramy

pod ziemią dopiero kipi
a jużeście wielcy ścierpli
poczekajcie zakipi lepiej
może w lipcu może na sierpień

(1929)

W najbliższym numerze zamieścimy artykuł S. Pollaka i J. Śpiewaka o twórczości Czechowicza.

Red.

WALDEMAR KIWILSZO

Kilka uwag o nowelistyce Czechowa

Marzeniem całego życia Czechowa była wielka powieść. Nie napisał jej nigdy, ale myśl o niej powracała wielokrotnie w rozmowach oraz korespondencji pisarza z przyjaciółmi i ludźmi mu najbliższymi.

Kiedy przebiegniemy pamięcią historię powieści rosyjskiej dziewiętnastego wieku, stwierdzimy, że powieść sąsiadowała zawsze z nowelą, opowiadaniem. Tak działo się do pewnego momentu historycznego. Puszkin pozostawił w prozie „Córkę kapitana" i nieśmiertelne „Opowieści Biełkina". Gogol zapisał się szeregiem znakomitych większych i małych utworów. Turgieniew przed serią powieści dał „Zapiski myśliwego". „Wojnę i pokój" Tołstoja poprzedziły „Opowiadania sewastopolskie". Tę przykładową ewidencję można by poszerzyć o wiele nazwisk mniej znakomitych. Można by podać przykłady staranniej i z dokładnością zawodowego historyka. Wówczas dowód, o który nam chodzi, uzyskałby wyraz ostry, nie pozwalający obejść łatwo krótkiego, bo krótkiego, ale niewątpliwie istniejącego w latach osiemdziesiątych zjawiska uwiądu wielkiej realistycznej powieści. Na czoło uprawianych w owym czasie gatunków literatury występują wszelkie odmiany małych form, a przede wszystkim nowela, opowiadanie.

Lata osiemdziesiąte minionego stulecia w Rosji tak charakteryzuje dzisiejszy radziecki biograf Czechowa: „Stare ideały umarły, w bólach i walce dojrzewały nowe. Koniec dawnych był widoczny, dojrzewanie nowych odbywało się na razie w ukrytym nurcie historii". Pośród tego czasu pisze swoje nowele Antoni Czechow.

W roku 1888 powstaje słynny utwór „Ognie", którego podtekst zdolny jest obalić każdą legendę o chłodzie „apolityczności" Czechowa. Równo przed rokiem carat wzniósł pośród petersburskiej nocy szubienicę. Zdrętwiały w porannym chłodzie szedł ku niej, po raz ostatni spoglądając na gasnące majowe gwiazdy, Aleksander Uljanow. Dopiero po pięciu latach młodszy jego brat przyjedzie z Samary do Petersburga na pierwszą linię walki o wolność.

W owych latach wielkiej pustki moralnej, z odłamków miałkiego życia sfilistrzonego rosyjskiego inteligenta nie mogło powstać wielkie epickie dzieło. Życie to rozmieniało się na drobne, codzienne i pozbawione wysokiego lotu epizody i zdarzenia. Z nich budowały swój kształt krótkie opowiadania i nowele — zdarzenia i epizody z życia.

Nieraz nazwisko Czechowa wymieniano w pobliżu Maupassanta. Są pewne racje takiego zbliżenia obu genialnych nowelistów. Autor „Człowieka w futerale" przebywał nieustannie nie tylko w kręgu prozy Puszkina i Leskowa — własne doświadczenia i zasady pisarskie sprawdzał również na tekstach arcydzieł Flauberta i właśnie Maupassanta. Od nich wszystkich uczył się zwięzłości słowa, dokładności rysunku postaci, wyrazistości opisu i klasycznej niemal prostoty opowiadania.

Trudno jest oprzeć się pokusie prowadzenia porównań i paralel, kiedy się ma do czynienia ze zjawiskami tak pokrewnymi, tak bliskimi sobie, jak twórczość nowelistyczna Czechowa i Maupassanta. Czyniono to wielokrotnie, tropiono zbieżności i różnice poetyk obu pisarzy i wynoszono pod niebo mistrzostwo obydwu. Jednakże zbyt często działo się to z ich szkodą. Maupassant pozostawał ojcem jakichś abstrakcyjnych wzorków i chwytów, Czechow tracił całą swą niepowtarzalną i przebogatą rosyjskość, prawie niknął w splotach cytatowych najczęściej zestawień. A tymczasem osobliwości poetyki Czechowa, tak przecie niekiedy różnej od nowelistyki twórcy „Baryłeczki", nie da się przedstawić i wyjaśnić bez odwołania się do charakteru i form życia społecznego, rodzinnego i towarzyskiego w Rosji Czechowa. Tę powłokę skrywającą wzór czechowowskiej noweli należy otworzyć kluczem dopasowanym z historii.

Niedawno słyszałem zdanie, jakoby Czechow był wielkim monografistą konwenansu. Z pewnością tak. I chociaż nie do pomyślenia jest przyjęcie owego stwierdzenia za którąś z pierwszych zasad charakteryzujących pisarza, to jednak w zdaniu tym dostrzec można sens szerszy, niżby się mogło na pozór zdawać. Nie świadczy ono bynajmniej o umiłowaniu przez Czechowa wszelkich konwencjonalnych, martwiejących lub już zmartwiałych form kultury i życia. Takie pojmowanie Czechowa byłoby najbardziej niezgodne z samą istotą zjawiska nazwanego w literaturze rosyjskiej jego imieniem, byłoby pozbawieniem tej wielkiej twórczości jej najżywszych podstaw moralnych.

Rodowód tego zjawiska, znajdującego istotnie wiele miejsca na kartach utworów Czechowa, jest wyraźnie inny. Przyjaciel Czechowa, Maksym Gorki, pisał gdzieś, że w jego nowelach nie znajdziesz nic, co by nie było wzięte wprost z rzeczywistości. A więc u podstaw prozy Czechowa odnajdziemy synonim wszelkiego rzetelnego realizmu — prawdę życia, prawdę własnego czasu historycznego. Jej też udział formuje charakterystyczne cechy nowelistyki Czechowa, tego „trubadura czasów martwych i chmurnych" — jak go niegdyś nazwano.

Nowele Czechowa, żeby użyć jego własnego wyrażenia, są pełne gracji — opanowania, umiaru, powściągliwości słów. Gorki twierdził, że w opowiadaniach Czechowa jest o wiele więcej treści niż słów, i że, gdyby się pokusić o opowiedzenie z pewną starannością treści któregoś z jego utworów, to streszczenie byłoby obszerniejsze niż samo opowiadanie. Zaiste, zdaje się niekiedy, jakoby Czechow wkładał więcej wysiłku nie w to, żeby słowo odnaleźć, stworzyć, lecz żeby je wymazać, usunąć całkowicie dla osiągnięcia większej kondensacji oraz prostoty opowieści. Podziwiać należy to wytrwałe, pełne uporu i pasji bojowanie o maksymalną ekonomię słowa. Była w tym przeogromna dbałość pisarza o nadanie myślom najprostszego, dobitnego wyrazu, i był w tym również pewien przywilej epoki, z którego Czechow jak nikt inny potrafił skorzystać.

Materiału nowelom Czechowa dostarczała epoka zastoju myśli, lata największej uległości wobec wszelkich form panowania caratu, lata całkowitego niemal bezwładu życia.

Nie trzeba żadnej wnikliwości, by dojrzeć, że materię utworów Czechowa stanowią głównie elementy i zjawiska rzeczywistości prawie zastygłe. Będą to więc ludzie o tradycyjnie ustalonej, niemal odziedziczonej sytuacji społecznej, z mocno uformowaną psychologią środowiskową, o bardzo ustalonych, dokładnych i w regulamin prawie ułożonych sposobach prowadzenia się, bycia. Będą to stosunki międzyludzkie przemienione w hierarchiczny rytuał, a więc często w etykietalną grę, konwenans.

Próby literackiego odwzorowania, zapisu takiej rzeczywistości nadają pisarzowi szereg szczególnych uprawnień. Czechow nie miał powodów nie skorzystać z przywilejów, jakimi obdarowywał go sam materiał. Pozwalał on mianowicie uchronić się przed koniecznością podawania rozwlekłych wyjaśnień i szczegółowej charakterystyki postaci wprowadzanej w opowieść. Oznaczało to możliwość uniknięcia rozbudowanej motywacji postępków bohatera, a tym samym uprawniało ascetyczną nieomal skrótowość sytuacji fabularnych i tłumaczyło prawie bez słów następstwa zdarzeń, rozwój akcji. Ta, w danym wypadku dozwolona, niebywała oszczędność środków wyrazu, ta nadekonomia przedstawienia, nie powoduje przy tym bynajmniej uszczuplenia treściowego ładunku utworów Czechowa.

Kukryniksy: rysunek do opowiadania „Końskie nazwisko"

Dla wprowadzenia w nowelę jakiejś postaci lub też zwyczajnej sytuacji życiowej wystarczają Czechowowi dwa — trzy pociągnięcia piórem. Można by to nazwać po prostu sposobem autorskiej rekomendacji. Pisarz wymienia zawód lub też położenie społeczne bohatera, dodaje do tego lapidarną charakterystykę zewnętrzną (np.: w „Annie na szyi" — Modest Aleksieicz — „był to urzędnik wzrostu średniego, dość otyły, zażywny, z długimi bokobrodami, bez wąsów..." i postać od razu wchodzi w nowelę, wiadomo też od razu jak się będzie prowadziła. Szczególnie odnosi się to do utworów, w których występują postacie najbardziej czechowowskie, to znaczy przedstawiciele drobnomieszczańskiej, prowincjonalnej inteligencji. W opowiadaniach tych trudno o odejście od konwecjonalnej omal że psychologii typów, nie ma tu w zachowaniu się bohatera rzeczy nieoczekiwanych, istnieje natomiast wyraźna zasada spełniania wzoru. Dlatego też „chudy" nie uściśnie „grubemu" całej dłoni, lecz tylko trzy palce. Nauczyciel Bielikow nie zdejmie kaloszy, tak jak za nic w świecie nie wsiadłby na rower. Wydarzenia też będą pozbawione mocy zaskoczenia. Nad nimi również zaciąży tępa psychologia podmiotu sprawczego. I dlatego umrze ze strachu maleńki, zgnębiony urzędniczyna Iwan Dmitrycz Czerwiakow, nie zaś ekscelencja Bryzżałow, nad którego łysiną tamten miał nieszczęście kichnąć.

Mimo wszelkie przewagi, jakich Czechowowi - noweliście dostarczała skrzepła w bezruchu rzeczywistość, pisarz uskarżał się coraz częściej na zbyt wąskie ramki noweli, na trudności wprowadzania do niej postaci działających oraz charakteryzowania bohaterów. Trudności tych doznawał dotkliwie, ponieważ nie był odpisywaczem życia typu Lejkina czy Gorbunowa. Dla zwyczajnej opisowości, dla płaskiego naturalizmu metody miał głębokie lekceważenie, zawsze dążył do włożenia w nowelę maksymalnej dozy prawdy życiowej, starał się więc podnieść bohatera do stopnia charakteru typowego. Niekiedy epizod lub też sytuacja, fabularna leżąca u podstaw noweli służy tylko głębokiemu uogólnieniu, stworzeniu postaci o cechach charakteru wyraźnych, postaci będącej jawnym typem psychologicznym, ukształtowanym według pewnego moralno - obyczajowego wzoru. Tak na przykład zrobiony jest „Kameleon".

Niekiedy Czechow wykorzystuje wraz z sytuacją centralną również boczne „dobudówki" i przeprowadza bohatera przez szereg wydarzeń w ten sposób, że we wszystkich wypadkach bohater ukazuje się od jednej i tej samej strony, podkreślając tym zasadniczą, typową linię charakteru. Tak postąpi pisarz z kapralem Priszybiejewem, z Duszką, z „człowiekiem w futerale" — nauczycielem Bielikowem.

Weźmy dla przykładu dwie nowele — „Duszkę" i „Człowieka w futerale". Obie powstały w tym samym 1898 roku. Nie jest to wcale bez znaczenia. Rzeczą znamienną jest również to, że trudności, o których wspominałem, doświadczał Czechow najbardziej w okresie pełnej dojrzałości twórczej, kiedy się zdawało, iż posiadł już ostatecznie tajemny niemal kunszt najkrótszej opowieści. Były to lata ostatniej już dekady wieku. Życie powoli ruszało z miejsca, w jego głębiach wzbierały już rwące później prądy. Dynamika, ciśnienie życia społecznego prowadziły Rosję ku wydarzeniom rewolucyjnym i zmieniały układy międzyludzkich stosunków, kruszyły wszelkie konwencjonalizmy, wyjmowały dusze ludzkie z futerałów. Ta dynamika rozpycha też i łamie rygory krótkiej noweli, wprowadza zmiany w poetyce Czechowa, a w jego twórczości zaznacza się szeregiem bardziej już rozwiniętych, nabrzmiałych i rozleglejszych utworów.

Niełatwo jest określić specyfikę gatunkową dwu przywołanych wyżej nowel. Są to nowele — portrety biograficzne. Obie świadczą żywo o wspomnianych trudnościach pisarza. Pragnie on ocalić krótkość opowiadania, ale zarazem nie rezygnuje już z szerokiej charakterystyki bohatera. I to każe Czechowowi czynić odstępstwa od wielu własnych zasad teoretycznych, odstępstwa od dynamicznej ekspozycji, od beznamiętnego toku relacji i wreszcie od rejestracji czysto zewnętrznych tylko oznak psychologii bohatera. Jeżeli „Duszka" zaczyna się bardzo charakterystycznym dla Czechowa, dynamicznym wprowadzeniem („Oleńka, córka dymisjowanego asesora kolegialnego Plemianikowa, siedziała w zadumie na ganeczku swojego domu"), to później w noweli zjawiają się elementy introspekcyjnej analizy psychologicznej, których tak zaciekle unikał Czechow i przed którymi przestrzegał niegdyś siebie i innych. W opowiadaniu „Człowiek w futerale" zachowuje Czechow zasadę tylko zewnętrznego opisu, za to jednak, pragnąc zachować całą głębię przedstawień bohatera, musi podejść do tej postaci z dużego „rozbiegu". Tym „rozbiegiem" jest właśnie obramująca opowieść o Bielikowie, rozmowa weterynarza z nauczycielem rysunku, której przedmiotem są ludzie zamknięci we własnej skorupie, nikczemne niewolnicze obyczaje, i wreszcie wolność, której nie ma. Czechow opowiada historię niedoszłej żeniaczki Bielikowa i dzieje jego śmierci. Musi przy tym dokonać jeszcze jednego „rozbiegu" — dać szczegółową charakterystykę „człowieka w futerale". Charakterystyka ta dominuje w opowiadaniu i podporządkowuje sobie całość fabularnej historii, która w ten sposób staje się rysem dopełniającym portret Bielikowa.

Dwie nowele — czas ich powstania przedziela lat piętnaście — „Śmierć urzędnika" i „Człowiek w futerale" pokazują nie tylko twórczą ewolucję pisarza, lecz również to, jak różne przemyślenie materiału i zadań twórcy warunkowało gatunkową różnicę noweli. Pierwsza — to niezwykle oszczędnie napisana miniatura, o dynamicznym rozwoju akcji. Czerwiakow kichnął i parsknął na łysinę ekscelencji, zaczął mu dokuczać przeproszeniami, został przegoniony z gabinetu, wystraszył się, silnie się tym przejął, „machinalnie wrócił do domu, położył się w swym galowym mundurze na kanapie i... umarł".

Dla Antoszy Czechonte było to zdarzenie zabawne, w którym objawiła się jedna ze stron niewolniczej psychologii, zrodzonej przez ponurą rzeczywistość caratu. Śmierć urzędnika podana została właśnie tylko jako zdarzenie, epizod. Co innego „Człowiek w futerale". Jest to opowiadanie nawiązujące po części do „Śmierci urzędnika". Ale postać Bielikowa ujęta została głębiej w aspekcie psychologii społecznej, pokazana jako twór epoki Pobiedonoscewa, a jednocześnie jako symbol ówczesnej Rosji. I oto wystarczyło Czechowowi głębiej potraktować temat, zleżały już materiał ukazać w świetle ostrzejszym — żeby puściły spojenia kruchej formy maleńkiej noweli z jej dynamiczną akcją, a zastąpiła ją nowela z biegiem akcji wyraźnie zahamowanym, podająca szczegółową charakterystykę bohatera, pełna nastroju psychologicznego i zgęszczeń obyczajowego kolorytu, nowela o złożonej kompozycji, nowela-portret, biografia.

Droga twórcza pisarza od Czechonte do Czechowa odzwierciedla w małych wymiarach drogę kształtowania się realistycznej noweli dziewiętnastego wieku. Pisarz przeszedł stadia maleńkiego moralno-obyczajowego i bytowego szkicu, dialogu humorystycznego i rozwiniętego podpisu pod karykaturę. Ale ta gazetowa „miełocz", jak ją nazywano, te różne „michałki" nie posiadały dla współczesnych Czechowa owej ostrości społecznej, jaką się odznaczały, powiedzmy „szkice fizjologii" pierwszej połowy stulecia, lub też opowiadania - szkice narodników. W owych „michałkach" stojących naówczas w ogóle poza kanonami prawdziwej literatury, spoza maski lekkiego szyderstwa ledwie pobrzmiewały cieniutkie tony oskarżenia, które później wyrosły i zmężniały w wielki szlachetny protest nie tylko przeciw pobiedonoscewskiej Rosji lecz w ogóle przeciw wszystkiemu, cokolwiek hamowało twórczą myśl i swobodę człowieka.

Już Maupassant odczuwał małość, karłactwo swojego bohatera i nie szczędził mu, tak jak w „Orderze", swego filozoficznego szyderstwa. Nigdy jednak w swym pisarstwie nie popadał w gorycz rozpaczy z powodu „płaskiej i bezmyślnej" duszy ludzkiej. Chroniła go przed tym refleksja przepełniona ironią. Czechow pogłębił losy „bezwolnej ofiary historii" i z szarych, zwykłych zdarzeń jej życia tworzył małe dramaty, wstrząsające głęboko sumieniem człowieka. Antosza Czechonte podejmował jeszcze epizody z kroniki życia drobnomieszczucha w lekkiej miniaturowej noweli humorystycznej. I może tutaj właśnie był najbliższy ironii Maupassanta. Później obrazki rodzajowe pisane pierwotnie dla żartu przemieniają się zwolna pod piórem Czechowa w nowelę psychologiczną, w której autor nie podaje już tylko zabawnych zdarzeń i perypetii bohatera, lecz spokojnie stonowanym głosem odkrywa tragizm jego losów społecznych.

Nie trzeba sięgać aż do listów Czechowa, żeby się przekonać, iż chłodne i beznamiętne, jak je zazwyczaj określano, pisarstwo Czechowa dzieje się od momentu jego pełnej dojrzałości na [illegible] dnie najgłębszej rozpaczy — takiej rozpaczy, która zdolna jest wyrwać człowieka z bezsiły i odrętwienia,

Waldemar Kiwilszo

KAZIMIERZ DZIEWANOWSKI —

ŚLADY

Przez całe lato pływa koło mostu w Mikołajkach ogromna ryba ze złotą koroną na głowie. Ryba jest z drzewa i jest uwiązana by wiatr jej nie pogonił gdzieś na Mikołajewskie albo Bełdańskie jezioro. To symbol mazurskiego miasteczka Mikołajek, jak syrena jest symbolem Warszawy. Miejscowi rybacy nazywają ją „Ogierem sielawowym" i żywią przekonanie o zależności dobrych połowów od zielonej ryby. Ogier sielawowy, król mazurskich jezior, ma przynosić rybakom szczęście a wypuszczenie go na wodę, które się odbywa co roku na wiosnę, przebiega bardzo uroczyście, spowite dostojnością wieloletniego zwyczaju.

Wokół ogiera sielawowego nawarstwia się legenda. Ale co do jej pochodzenia zdania są podzielone. Jedni twierdzą, że jest to prastara legenda mazurskich rybaków, a drudzy utrzymują, że ogier sielawowy to jeden z wielu pokutujących na Mazurach bluffów. Mówią oni, że wynalazcą legendy stało się jedno z niemieckich towarzystw hotelowych, które czyniąc wszystko dla przyciągnięcia turystów z Berlina, Hamburga czy Norymbergii, postarało się w końcu XIX wieku o uromantycznienie Mikołajek. Jak tam w rzeczywistości było — nie wiemy. Może kiedyś dadzą na to odpowiedź historycy, którzy zajmą się opracowaniem bogatych, starych legend mazurskich, mazurskich obyczajów, obrzędów i kultury.

Nie wiedziała tego również pewna nauczycielka, która w lecie bieżącego roku przyjechała do Mikołajek ze sporą wycieczką dzieci szkolnych z Warszawy. Dzieciom ogromnie się podobała ryba spod mikołajewskiego mostu, ale nauczycielka nie potrafiła wyjaśnić im znaczenia ani pochodzenia związanej z nią legendy. Dzieci były zawiedzione. Jeszcze bardziej zawiodły się, kiedy się okazało, że nauczycielka nie potrafi wyjaśnić im innych, daleko ważniejszych spraw. Kim są Mazurzy? Dlaczego niektórzy z nich mówią po niemiecku? Czy są oni wobec tego Polakami czy Niemcami?

Nauczycielka słusznie tłumaczyła dzieciom, że Mazurzy są Polakami. Ale na pytanie, skąd się oni tutaj wzięli, jak przechowali swą polskość, jaka jest historia Mazurów — na te pytania odpowiedzieć już nie potrafiła. To prawda, że nasza nauczycielka w szkole nie wykładała historii i dlatego pokręciły jej się sprawy księcia Albrechta i brandenburskich elektorów, królów pruskich i wojen ze Szwecją, polskich chłopów i Hohenzollernów. Powiedzmy sobie szczerze: większość polskiej inteligencji nie wie jak to się stało, że jeszcze 30—40 lat temu polski język był mową panującą niepodzielnie na mazurskiej wsi. Ale nie to jest najważniejsze. Chcemy mówić o sprawach bez porównania poważniejszych, z których niestety nie zdaje sobie sprawy nie tylko nauczycielka, która była w lecie w Mikołajkach, ale i ogromna większość obywateli naszego kraju. Tysiące turystów odwiedzają co roku Mazury. Pojezierze mazurskie stało się modne. Ale wzrok turystów na ogół nie sięga poza taflę jezior, poza zieloną ścianę cudownie pięknych lasów, nie sięga do poważnych, nieraz niepokojących problemów ludzi z Mazur.

O tych problemach chcemy mówić, bo na Mazurach obok wspaniałego procesu odzyskiwania przez Polskę ludzi zastraszonych i skrzywdzonych przez lata germanizacji, dzieją się również rzeczy złe, o których trzeba głośno mówić i którym trzeba natychmiast przeciwdziałać. Przeciwdziała im i walczy z nimi Partia i władza ludowa, ale potrzebna jest także i poważna szeroka akcja ze strony działaczy kultury, ludzi sztuki, literatów, artystów, dziennikarzy, a wreszcie ze strony tych tysięcy turystów, którzy pod powierzchnią przepięknego krajobrazu Mazur powinni dostrzec ludzkie problemy nurtujące ten kraj.

Chcemy przedstawić tu pewne obserwacje poczynione w czasie licznych wyjazdów na Mazury, w czasie reporterskich poszukiwań, rozmów z rozmaitymi ludźmi, dziennikarskich włóczęg i konfrontacji. Chcemy mówić o sprawach nieraz drażliwych, o zaniedbaniach i brakach w naszej pracy. Trzeba o nich mówić, doświadczenie bowiem uczy, że tam, gdzie milczymy, tym donośniej rozlega się głos wroga.

DLACZEGO MIESZKAŃCY PIASUTNA UTRACILI PAMIĘĆ?

W Olsztynie jest dziś ulica Jerzego Lanca. Nazwisko to widnieje również na olsztyńskiej Tablicy Zasłużonych.

Kiedy wysiedliśmy z pociągu na stacji w gminie Świętajny, w powiecie Szczytno, spostrzegliśmy idąc ulicą duży szyld z napisem: „Zakład Fryzjerski". I oto przypomniały nam się słowa Jerzego Lanca. Tak, to na pewno tu, przed 22 laty, rezydował fryzjer, o którym Lanc mówił: ile razy golę się u fryzjera w Świętajnach, mam zawsze uczucie, że fryzjer poderżnie mi gardło. Jak bardzo pragnie on tego...

Kim był tak znienawidzony przez Prusaków Jerzy Lanc?

W roku 1931 późniejszy rektor Uniwersytetu Ludowego w Mikołajkach, Benig, zgłosił się do ambasady polskiej w Berlinie z pytaniem: czy ambasada poprze akcję zakładania na Mazurach polskich szkół? A trzeba wiedzieć, że na Mazurach nie było wówczas ani jednej polskiej szkoły. Istniały tylko na Warmii.

Odpowiedź ambasady brzmiała: nie. Rząd Rzeczypospolitej Polskiej nie życzy sobie zaostrzania stosunków z Niemcami i ambasada nie uczyni żadnego kroku w celu zakładania takich szkół. Polska szkoła może powstać tylko w tym wypadku, gdy ludność mazurska sama tego zażąda. Takie było stanowisko sanacyjnego rządu, którego nie interesowały sprawy polskiej ludności na Mazurach. Ambasada była pewna, że ludność mazurska sama nie zażąda takiej szkoły. Od czego bowiem byli niemieccy żandarmi, nauczyciele, wójci, urzędy podatkowe?

A jednak po długiej, uporczywej walce założono pierwszą i — jak się okazało — jedyną polską szkołę na Mazurach — w Piasutnie w powiecie szczytnieńskim, o cztery kilometry od Świętajn. Osiem mających dwanaścioro dzieci rodzin mazurskich zgłosiło chęć posyłania dzieci do szkoły o polskim języku nauczania. Wśród nich — Maciej, Ozygus, Jarosz i inni. Do Piasutna przyjechał, ściągnięty z Poznańskiego, nauczyciel — Jerzy Lanc. Jeden z wielu cichych bohaterów walki o polskość na Mazurach.

Po długich poszukiwaniach znaleziono lokal dla szkoły w zagrodzie starej Lumowej. Lumowa gospodarowała niefortunnie, popadła w długi i groziło jej bankructwo. Dlatego przyjęła ofiarowaną jej wysoką opłatę w zamian za użyczenie lokalu na szkołę. Rozpoczęto naukę. Ale tylko przez cztery pierwsze dni przychodziły do szkoły dzieci wszystkich rodziców, którzy podpisali deklarację. Po czterech dniach do szkoły chodziło już tylko jedno dziecko — niedorozwinięta córka Macieja. Przyczyn tego „niewytłumaczalnego zjawiska" szukać należy w mrocznych archiwach „Heimatdienstu".

Zaczęło się od tego, że do rodziców dzieci uczęszczających do szkoły Lanca zaczął zaglądać żandarm. Trzy, cztery razy dziennie. Żandarm nie mówił nic, spisywał tylko protokoły. Za to, że na podwórzu leży słoma, która może się zapalić, że piec ma źle skonstruowany „luft", że lampka naftowa jest nie oczyszczona, że płot wygląda brudno. Potem niemiecki bank zagroził cofnięciem kredytu. Należy przy tym pamiętać, że większość Mazurów z Piasutna była wówczas zadłużona w banku. Na targu też trudno się było pokazać, bo w tłumie padały okrzyki: zdrajcy, „Pollacken" — i któż w takiej sytuacji ośmielił się wówczas kupić coś od nich.

Tak więc, po czterech dniach, w szkole Lanca zostało tylko jedno dziecko — córka Macieja. Maciej miał również poważne długi, ale nie w niemieckim, tylko w polskim Banku Ludowym w Szczytnie. Dlatego władze niemieckie nie mogły go złamać ekonomicznie. A zresztą jedno, jedyne dziecko w szkole Lanca, i do tego niedorozwinięte, nie stanowiło dla nich niebezpieczeństwa. Zostawili go więc w spokoju. I tak zaczęła się roczna, bohaterska samotność Jerzego Lanca. Sam jeden, bez pomocy, otoczony ludźmi, którzy albo się go bali, albo go nienawidzili. Z jedną, jedyną uczennicą, przez cały długi rok. A jednak nie zamknął szkoły.

W końcu roku 1931 Jerzy Lanc zmarł w swoim pokoiku w zagrodzie Lumowej. Dokonana w Poznaniu sekcja zwłok wykazała zatrucie czadem. Po śmierci Lanca szkołę zamknięto.

✠

Jest rok 1953. Mamy parę nazwisk ludzi, którzy podpisali wówczas deklarację o posyłaniu dzieci do polskiej szkoły. Wiemy, że Piasutno było niegdyś poważnym ośrodkiem czytelniczym „Mazura", który wychodził po polsku. Chcemy odnaleźć ślady przeszłości, skonfrontować ją z dniem dzisiejszym.

Dziś w Piasutnie jest polska, 6-klasowa szkoła. Nauczyciele toczą niełatwą walkę o dusze dzieci mazurskich, by je przywrócić ojczyźnie. Skarżą się na trudności, gdyż nie wszyscy rodzice chcą posyłać dzieci do szkoły. Dlaczego? Dają na to niejasną i ogólnikową odpowiedź — nieprzekonani, trudno do nich trafić. Historii Lanca i jego szkoły nauczyciele nie znają. Ot, tyle, że się im nazwisko o uszy obiło. A szkoda, może gdyby znali, łatwiejby im było trafić do nieprzekonanych. Młodzi zatem nie znają — ciekawe co powiedzą starsi.

Starego Jarosza zastajemy przy rąbaniu drzewa. Staruszek jest siwy, trzęsą mu się ręce i głos. Na otwartej, chłopskiej twarzy głębokie bruzdy, znak niełatwego życia. Gospodaruje w otoczonej lasem, odsuniętej od wsi zagrodzie. Gospodarstwo jest zapuszczone — nie ma kto na nim pracować. Jarosz przyjmuje nas serdecznie, wita się wylewnie, dopytuje skąd jesteśmy, z czym przyjeżdżamy i co słychać w Warszawie. Zaprasza do domu i sadza nas na mazurskich, grubo ciosanych stołkach. Mówi piękną, mazurską gwarą, gdzieniegdzie tylko zatrącającą germanizmami, ale i germanizmy są zasymilowane i jakieś „zmazurzone". Wita nas żona Jarosza, starsza już, ale silna jeszcze i — widać to na pierwszy rzut oka — energiczna kobieta. I ona też jest serdeczna, ale bardziej podejrzliwa. Jej pierwsze pytanie to: „czego chcecie".

Jarosz lubi mówić. Opowiada historię swego życia, przeplata ją anegdotami i biblijno - filozoficznymi przypowieściami. Cytuje zdania proroków i zastanawia się nad losami świata. Jego poglądy to pomieszanie pisma świętego, ksiąg Sybilli, niemieckich kalendarzy dla Mazurów i niedzielnych kazań pastora. Ostrożnie pytamy go, czy pamięta Lanca i jego szkołę. Pamięta, owszem, był taki, chodził, namawiał — mądry był z niego człowiek — ale nikt się nie zgodził posyłać dzieci do jego szkoły. A zresztą, on, Jarosz nic o tym nie wie. Wiedziałby Maciej, gdyby żył, bo jego córka przez rok chodziła do tej szkoły. Wiedziałaby Lumowa, bo to u niej mieszkał Lanc. Ale jej nie ma.

„Panie Jarosz, przecież pan sam podpisał deklarację, kiedy Lanc się pytał, kto chce posyłać dzieci do szkoły..."

Jarosz jest zmieszany. Przypominamy mu, jak to żandarmi starali się złamać tych, którzy podpisali deklarację. Przypominamy mandaty za cegłę wypadającą spod progu, listonosza, który oświadczył, że zdrajcom nie będzie dostarczał listów, kominiarza, który nie chciał czyścić kominów, niemieckie gazety, które pisały „der Polenspuck von Piasutna". Jarosz przypomina sobie. W jego oczach zapala się dawny gniew, gniew z tych czasów, kiedy żandarm nie zdołał go jeszcze złamać.

„Tak, przychodzili, straszyli, grozili. Tak było jak mówicie. Bryftreger też, ja to pamiętam. Przychodzili tacy..."

Jarosz ośmielił się, chce mówić. Uderza ręką w stół, chce wywlec wspomnienia, które go bolą, wspomnienia walki... Zaczyna mówić, ale po chwili — milknie. Coś mu przeszkadza mówić...

HERR BAUERNFUEHRER WALEŚ GROZI...

Lanc jeszcze był w Piasutnie, gdy Związek Polaków w Niemczech przystąpił do założenia nowej szkoły polskiej. Wybrano wieś Dębowiec, gdzie nawet według niemieckich urzędowych spisów 221 osób mówiło „po mazursku" a tylko 11 po niemiecku. W rzeczywistości jednak we wsi mieszkała tylko jedna rodzina niemiecka, a tak to wszyscy — łącznie z sołtysem — mówili po polsku. O wyborze tej właśnie wsi zadecydował również fakt, że mieszkał tam aktywista Związku Polaków, Późny i istniały żywe tradycje walki o polskość (nadgraniczny powiat).

Niemiecka, szowinistyczna prasa, rozmaite szmatławce Heimatdienstu w rodzaju „Neidenburger Zeitung" — organu miejscowego starosty — rozpętały dziką nagonkę na śmiałków, którzy w tej „czysto niemieckiej wsi" odważyli się mówić o polskiej szkole.

„Ziemia zacznie parzyć stopy bezczelnym Polakom i synom Judasza" — donosiło to pisemko w tym samym czasie, gdy sanacja obojętnie się przypatrywała jak łódzcy hitlerowcy heilują. Wkrótce potem nie tyle ziemia, co Herr Bauernführer Waleś zaczął prześladować tych, którzy się zgodzili posyłać dzieci do polskiej szkoły. Gdy wypróbowane w Piasutnie metody — żandarm, listonosz, kominiarz — zawiodły, rozpoczęto terror.

18 grudnia r. 1931 zorganizowano napad na samochód Związku Polaków, który w drodze do Dębowca zatrzymał się w Jedwabnie (gmina, do której ta wieś należy). Bryłami lodu unieruchomiono wóz i zmuszono siedzących w nim działaczy Beniga, Jankowskiego i Barcza do opuszczenia go. Faszystowscy bojówkarze dębowymi pałkami zmasakrowali szofera, nota bene Niemca, u którego później lekarz stwierdził trzykrotne pęknięcie czaszki. Tylko dzięki przytomności umysłu Beniga, któremu się udało nastraszyć napastników, skończyło się tylko na tym.

Ale teraz Heimatdienst szedł już na całego, jakby zapominając o tym, że Związek Polaków jest legalną organizacją i że oficjalne władze pruskie wydały zgodę na założenie polskiej szkoły w Dębowcu.

Pewnego dnia Waleś wezwał do siebie głównego organizatora szkoły, Późnego. Gdy tylko Późny wszedł do kancelarii sołtysa, z bocznej izby wysunęło się dwóch drabów w brunatnych koszulkach. Rozmowa miała mniej więcej taki przebieg:

— Dlaczego zakładasz, du blöder Hund, polską szkołę?

— Bo jestem Polakiem i chcę, by moje dzieci uczyły się we własnym języku.

— Ach, so.

Dalej już z nim nie rozmawiano. Zbito, aż do utraty przytomności. Zalanego krwią, zmasakrowanego Późnego synowie z trudem przyprowadzili do domu, w którym ktoś podrzucił już karteczkę: „So wird mit jedem Verräter geschehen, der für eine polnische Schule kämpfen wird" (tak stanie się z każdym zdrajcą, który będzie walczył o polską szkołę).

Później poszło błyskawicznie. Gospodarzowi Broziowi, który wynajął lokal na szkołę, miejscowy nauczyciel niemiecki dał do wyboru albo los Późnego, albo pieniężne odszkodowanie za zerwanie umowy ze Związkiem Polaków. Broź umowę zerwał, ale pieniędzy nie przyjął.

MARIAN

TRZY OPO

Rys. Barbara Kusak

MARTWA NATURA

Nie, nie, żadnych kompozycji, symbolów i metafizyki. Co jedno możemy od ciebie przyjąć, to martwą naturę, skromną, prostą martwą naturę... — usłyszał Jan od potężniejszego kolegi, organizującego wystawę. — Ty to zgrabnie robisz.

— ...Przygotowałem już płótno — zasępił się Jan przestępując z nogi na nogę — i naprawdę z ogniem! — Spojrzał jeszcze z niejaką nadzieją w uzbrojone szkłami oczy potężniejszego kolegi, które — jako że nie dowidziały szczegółu — wzięły w arendę całą metafizykę.

Potężniejszy kolega uśmiechnął się do Jana jak do dziecka, któremu należy wytłumaczyć, że nie wolno manipulować przy zegarku. Położył rękę na jego ramieniu.

— Nie upieraj się. To dla twojego dobra, zapewniam. Masz jeszcze pięć dni przed sobą. Cóż dla ciebie znaczy taka martwa natura?.. Powiem nawet więcej. J a już się o to postaram, że obraz zostanie zakupiony. No jak tam?... Prawdziwy zakup! Za skromną, ma się rozumieć przyzwoitą cenę. Kartka będzie od pierwszego dnia, a to ci napędzi jeszcze klientów.

Jan westchnął, zgodził się i uścisnął podaną dłoń. Wyszedł na ulicę i zmieszał się z tłumem płynącym w kierunku bulwaru Montparnasse.

Tam poruszał się jakiś czas otępiały, żeglując wysoko głową w oślizłym kwietniowym wietrze, ale szybko oswajał się z nową sytuacją i już rozmyślał intensywnie, jak jej sprostać. Zatrzymał się przed sklepem z delikatesami, przeliczył pieniądze i przestąpiwszy próg kazał sobie zważyć półtora kilograma jabłek. Wskazywał palcem, na których sztukach mu szczególnie zależy, wybierał piękne, jakby z porcelany, i rumiane, a dziewczyna z wyrozumiałym uśmieszkiem spełniała jego życzenia.

Potem chciał iść piechotą, ale naruszywszy już banknot zdecydował się na kolej podziemną w stronę placu Pigalle.

W domu żona przywitała go z twarzą, której każdy rys, oczy, usta, a nawet nos — były znakiem zapytania: jak załatwiłeś sprawę?

Jan uśmiechnął się konwencjonalnie i odpowiedział: — Patrz, Yvette, co będę robił.

Wysypał pachnącą zawartość torby do klosza z metalową podstawą, sięgnął na półkę i odciął pół bochenka chleba, zapytał: — Yvette,

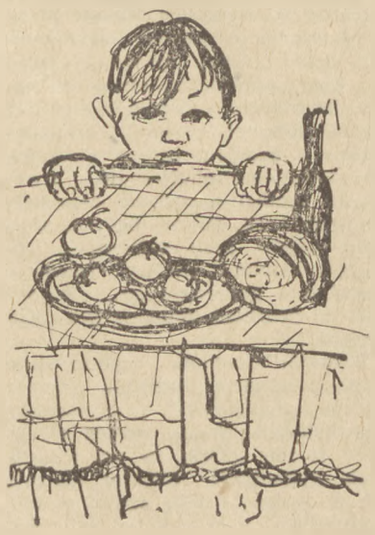

gdzie przechowujesz cebulę? — skręcił wianuszek i upozował to wszystko na stoliku przykrytym barwną serwetą. Pchnął stolik w kierunku dobrego, złamanego światła i zapowiedział, że zabiera się do martwej natury.

Yvette oderwała na chwilę od ściany blejtram z kompozycją, obejrzała go i odstawiła w milczeniu płótnem do ściany. Po czym usiadłszy na niskim zydelku przywołała do siebie i usadowiła obok małego Paula i wzięła się do cerowania skarpety. Oboje patrzyli w kierunku światła bijącego od okien, żeby śledzić, jak to tatuś będzie robił tym razem.

Trzyletni Paul podniósł się w pewnej chwili z miejsca, podszedł do stolika i wziął w rączkę jabłko leżące na wierzchu.

— Nie ruszaj i nie kręć mi się! — skarcił go ojciec. Chłopczyk usłuchał i upuścił skwapliwie jabłko z powrotem, a Jan poprawił je, i uśmiechnął się czule, ale ten moment niepokoju i niezgody w domu stał się początkiem ciężkiego przeżycia.

Jan malował dłużej niż pięć dni, siódmego — obraz nie był jeszcze gotowy. I przez cały ten czas mały Paul nie zaznał spokoju, kołując w pobliżu stolika i próbując — skoro nie udało się jawnie niczego uszczknąć — uczynić to samo po kryjomu. Ponieważ pożywienie w domu składało się przeważnie z ziemniaków w oliwie i ostrolistnej sałaty — pachnące, delikatne owoce pociągały go nieodparcie. Ojciec czuwał jednak i po skończonym posiedzeniu odstawiał stolik w niedostępne miejsce. Między Yvette a Janem wybuchały nawet spory o to, czy nie dałoby się którejś sztuki usunąć ze środka i zastąpić pakułą papieru, ale Jan oburzał się na samą myśl o tym: — Nie tektury, lecz życia wymagają ode mnie — krzyknął — a więc zrozum! muszę mieć swój warsztat w porządku!

Mimo to udało się Paulowi skorzystać pewnego razu z jego nieuwagi, ukraść jabłko i przywrzeć do niego zębami.

W tej chwili ojciec chwycił go za rączkę, odebrał zdobycz i nawet zamierzył się do uderzenia. Ale rękę w porę powstrzymał, popchnął tylko malca leciutko od siebie i stanął przy oknie, żeby przycisnąć powieki palcami w jakiejś okrutnej, choć krótkiej boleści. Zrozumiał sytuację: nie stać go na to, żeby dać dziecku jabłko na wiosnę. Dodatkową karą był płacz Paula, cichutki, ale żałosny.

Ósmego dnia martwa natura była gotowa, jabłka przestały być rekwizytem i można je było zjeść z apetytem.

Rodzice usiedli do stołu, Yvette wzięła synka na kolana i obejmując go ramionami poczęła przed nim rozkrawać najpiękniejszy owoc.

— Zepsute, zdaje się — zauważył ojciec zaglądając jej w nóż i pod palce. Jabłko miało brązową, zbabczałą plamę od rdzenia.

Obrali i okrajali jabłko, i dali resztki malcowi.

— Gorzkie — powiedział, ale zjadł.

Drugie i trzecie okazało się nie lepsze. Pomału tracili przyjemność z przyrządzenia dla niego uczty. Yvette zeszatkowała już wszystko do końca.

— Starczy na dwa razy najwyżej — stwierdził Jan

— ANDRZEJ BERKOWICZ

Z Ł A

Z MAZURSKICH WĘDRÓWEK

Nad wsią zawisła groza terroru. Benig opowiada dzisiaj, że mieszkańcy Dębowca mówili mu tak:

— Posłalibyśmy dzieci do szkoły, ale dajcie nam gwarancję, że jakby co, to Polska ujmie się za nami.

Nie mógł im dać takiej gwarancji i rozgoryczeni mieszkańcy Dębowca skryli się w swej skorupce „mazurszczyzny", w tym nieobowiązującym „ni pies ni wydra".

Ich rozgoryczenie jeszcze bardziej wzrosło, gdy się dowiedzieli, że rząd polski wysłał protest do Ligi Narodów, który utonął tam w szufladzie. Sanacja wysłała protest — i to było wszystko. Natomiast tu, na miejscu, rozegrała się tragifarsa — pokazowy proces. Ze względu na to, że sprawa nabrała rozgłosu, władze pruskie nie mogły jej zatuszować, toteż przed sądem postawiono sprawców napadu w Jedwabnie i masakry Późnego. Ale bynajmniej nie tych, którzy dali rozkaz, a tylko palkarzy. Sąd niemiecki nie chciał nawet przyjąć skargi złożonej przez Późnego na Walesia motywując iż „podważyłoby to autorytet niemieckiego sołtysa". Dwa tygodnie trwał „proces", po czym lekarz powiatowy uznał wszystkich świadków za nienormalnych i oskarżeni zostali zwolnieni.

Prusak triumfował, a tuż za granicą Rzeczpospolita Piłsudskiego obojętnie przypatrywała się jak stary Późny dogorywał. Tak samo jak mazurskiemu poecie Kajce, jak wdowie po zamordowanym działaczu plebiscytowym Lince, ktorzy cierpieli straszliwą nędzę i Późnemu nie pomógł nikt. A w tym czasie reakcyjna część berlińskiej centrali Związku Polaków z drem Kaczmarkiem (późniejszym adiutantem Eisenhowera) na czele urządziła zbiórkę pieniężną na prezent dla Piłsudskiego. Bojownicy o sprawę polską nie dostali nigdy ani grosza, a jaśniepańska Polska pchała grubą forsę na utrzymanie w Prusach Wschodnich obszarnictwa polskiego, p.p. Donimirskich, Kowalskich, Sierakowskich...

*

Rok 1953. Jeden z mieszkańców Dębowca otrzymuje z Niemiec Zachodnich list następującej treści:

„A spróbujcie się tylko przyznać do tego, że jesteście Polakami, to my się z Wami policzymy. Teraz to my nie będziemy tacy łagodni, już wiemy, jak się robi porządek z takimi świniami".

Pod listem zamaszysty, ale czytelny podpis: — Waleś.

Wieki rządów prusackich zaszczepiły w dusze Mazurów strach, który nie łatwo wykorzenić. Zdarzają się Mazurzy przypominający siennkiewiczowską Danusię, która uwolniona przez Zbyszka z łap krzyżackich powtarzała: boję się, boję się...

„Heimatdienst" i żandarmi, bojówki SA i Gestapo zostawiły po sobie na Mazurach smutną spuściznę — strach. Wiedzą o tym ludzie; którzy w Niemczech Zachodnich wciąż jeszcze marzą o wygodnych posadkach gau i ortsleiterów w dalekim „Masurenland". I dlatego próbują sięgać poprzez Łabę listami, paczkami, pogróżkami. Pragną wykorzystać ten strach.

Wiele piszemy o zatrutych audycjach „Wolnej Europy". Waleś nie otrzymuje wierszówki od „Komitetu Wolnej Europy", ale wykonuje tę samą co on robotę.

„PIŁA" CZY „ZAGA"

O sprawach w rodzaju Dębowca nie wię dziś przybysz z Polski centralnej, ale doskonale pamięta je mazurski chłop. I nie tylko to — pamięta znacznie więcej. A najlepiej chyba utrwalone są w jego pamięci krwawe dni plebiscytu.

Kierownik niemieckiej akcji plebiscytowej, publicysta i handlarz masła w jednej osobie, renegat Max Worgitzky tak pisał:

„24 listopada 1918 roku lotem błyskawicy obiegła Olsztyn wieść, że Polska Rada Ludowa na rynku odbyła publiczne zebranie. Przerażenie i zaskoczenie było wielkie, gdy nagle, pośrodku kraju wynurzył się lud polski najwyraźniej zorganizowany".

Junkrzy przerazili się i nic w tym dziwnego, jeśli weźmiemy pod uwagę, iż Prusy Wschodnie to była ich ostoja, podpora tronu Hohenzollernów.

Zaszumiało, zafalowało morze polskie, a prusko-junkierska wysepka z lękiem spojrzała na ten trzystotysięczny lud mazurski i warmiński, pogardzany dotychczas „mischvolk".

Przerażenie ich dosięgło zenitu, gdy 9 listopada 1918 r. po przyjeździe marynarzy z Kilonii utworzono w Olsztynie Radę Delegatów robotniczych i żołnierskich. Olsztyńska Rada wysunęła hasło samostanowienia narodów. Stosownie do niego zwróciła się do ludności polskiej z prośbą o zaufanie.

Niemiecka Rada Delegatów robotniczych i żołnierskich oświadczyła, iż „Socjalistyczna Republika Niemiecka poprze usprawiedliwione roszczenia polskie" do południowych ziem Prus Wschodnich. Szowiniści i nacjonaliści pruscy powitali to gwałtownymi, pełnymi nienawiści atakami.

„Ostdeutsche Nachrichten" pisały w związku z tym, jak „oburzającym dla niemieckich fabrykantów i kupców oraz sfery urzędnicze Olsztyna jest fakt, że na zebraniach Związku Spartakusa Polacy śpiewają „Jeszcze Polska nie zginęła".

Jako przeciwwagę polskiego ruchu i akcji niemieckich rewolucjonistów prusactwo zakłada nacjonalistyczną, terrorystyczną organizację pod godłem czarnego krzyża Zakonu „Ostdeutscher Heimatdienst".

Rozpętano terror, dziki terror, który ludzie jeszcze dziś pamiętają. Bogusław Linka w imieniu ludu mazurskiego jedzie do Paryża błagać Wilsona, by przyłączył Prusy Wschodnie do Polski. Ale nie znalazł tam zrozumienia — mr. Wilson miał ważniejsze sprawy na głowie.

Po powrocie Linki wściekłość Niemców nie miała granic. Nasyłano na niego prowokatorów, bandy „Grentzschutzu", więziono go i dopiero na interwencję wypuszczano. Ale to było tylko preludium do wielkiego aktu tragedii, jaki rozegrał się 21 lutego 1920 roku. W biały dzień bojówka wywlekła starca z zebrania w Szczytnie, postawiła pod murem i z premedytacją zatłukła.

Zginął Linka, Turowski, Jabłonka, nie policzysz ilu zmasakrowano, ilu sterroryzowano najrozmaitszymi sposobami.

A lud mazurski patrzył: z jednej strony silny, butny Prusak trzymał nóż na gardle, z drugiej mityczna Polska, która tak się krzątała wokół plebiscytu, jakby cała ta sprawa w gruncie rzeczy jej nie obchodziła. Bo i rzeczywiście tak było. Gdy się ważyły losy trzystu tysięcy Mazurów, gdy szalał Heimatdienst, a z Vaterlandu zwożono tysiące agentów „do głosowania", Piłsudski wywijał szabelką w kierunku Kijowa.

A w dodatku jeszcze zakłamana propaganda truła dusze i mózgi. Ślady jej pozostały po dziś dzień.

Gdzieś tam pruski „naukowiec" Bruno Hoffmann napisał, że Mazurzy posługują się jako domowym językiem dialektem, który od polskiego języka jest tak różny, że ten ostatni jest dla Mazura „niezrozumiały" a stary Kopka z Wierzby jak pozytywka powtarza po tylu latach tę ograną śpiewkę. Na pozór wyglądało to zabawnie, ale cała historia nie bardzo nadaje się do śmiechu.

Kopka: A panozie to cheba długo rejzowali po naszej ziemi bo fest po mazursku mózicie?

My: Ależ mówimy po polsku, tak jak się w Warszawie mówi.

Kopka: Toć nie cygańta, dyć jo syćko rozumiem, a przecież polska mowa inna. Po polsku mózią „ziemniaki" a u nas „kartofle". Po polsku „piła" a po mazursku „zaga".

I gadaj tu z takim. W czasie rozmowy przypomina się nam biblia pruskich szowinistów: „Unsere masurische Heimat".

Jest tam taka, zacytowana w całości, zapisana gotykiem, piosenka mazurska „Zielony dzban":

Poszło dziewczę po wodę
Miało piękną urodę
Spotkał się z nią pan
Który jej stłukł dzban.

Dziewczę moje nie płaczże
Ja ci za dzban zapłacę
Za zielony dzban
Talar tobie dam.

A pod tym wszystkim komentarz: oto typowy przykład niemieckiego dialektu na Mazurach, który nie ma nic wspólnego z polskim.

Śmieszne? Smutne jest to, że dużo Mazurów wierzyło w podobne bzdury. I jeszcze teraz pokutują na Mazurach rozmaite „cuda i cudeńka" niemieckiej Propaganda Abteilung. Opowiadano nam o jednej Mazurce, której proponowano w roku 1952, by pojechała z wycieczką do Polski centralnej.

— No i po co ja tam pojadę — odparła. — Przecież tam oprócz kościołów katolickich nic nie ma.

W roku 1945 nastąpiła Wielka Konfrontacja. Dużo bzdur, które wsączała szowinistyczna propaganda, prysnęło jak bańka mydlana, ale dużo z nich jeszcze pokutuje. I one też stanowią dzisiaj dobrą pożywkę dla rewizjonizmu.

O BRZYTWIE I NIEUFNOŚCI

W czasie naszych wędrówek po Mazurach zdarzyło nam się nocować w Pieckach.

Rano chcieliśmy się ogolić. Ku naszemu zmartwieniu okazało się jednak, że jedyna posiadana przez nas żyletka złamała się. Zwróciliśmy się więc do gospodarza z prośbą o pożyczenie żyletki lub brzytwy. Gospodarz brzytwę pożyczył, a przy okazji wywiązała się dłuższa rozmowa. Zaczął nam opowiadać, jaką to on piękną posiadał kiedyś brzytwę. Takiej brzytwy nigdzie dziś nie dostaniecie. Ale cóż, w roku 1945 przyszedł szabrownik, spodobała mu się brzytwa, to i wziął ją. Od brzytwy przeszliśmy na historię szabrowników. Jest prawdą, że w latach 1945-46 rozmaite kanalie grasowały na Mazurach. Nasz gospodarz niejedno pamiętał i niejedno mógł nam opowiedzieć. Działy się wówczas na Mazurach rzeczy poważniejsze i bardziej oburzające aniżeli historia z brzytwą, ale dla niego wspomnienie pięknej brzytwy stało się symbolem czasów, kiedy chłop mazurski wiele wycierpiał od ludzi pozbawionych sumienia i moralności, wrogów wszystkiego co cudze, a przyjaciół własnej kieszeni.

Próbowaliśmy wytłumaczyć mu, skąd się szabrownicy wzięli, co to byli za ludzie, jeśli godzi się tak ich nazwać. Opowiadaliśmy o okupacji, o prześladowaniach ze strony hitlerowców, o Oświęcimiu. Patrzył na nas coraz bardziej nieufnie. Nie wierzył. W końcu powiedział to otwarcie: „Hitlerowcy jacy byli, tacy byli, ale żeby Niemcy mieli gazować i palić tysiące ludzi dziennie, to nieprawda. Znam Niemców. Krótko trzymali, przy mordzie, ale żeby mieli bez powodu mordować tyle ludzi, to nie może być".

On, który nigdy w życiu nie wyjeżdżał poza Piecki widział tylko jednego i tego samego żandarma, co to potrafił wprawdzie strzelić w pysk, ale za jajka i masło gotów był zrezygnować z wielu żelaznych zasad. Rozstrzeliwań na ulicach, palenia wsi razem z mieszkańcami, obozów śmierci — nie widział nigdy. Niemiecka propaganda nie informowała go o tych sprawach. Pierwsze tego rodzaju wieści przynieśli mu szabrownicy. I stąd zrodziła się w nim nieufność, niewiara w prawdziwość faktów mówiących o hitlerowskich okrucieństwach. Przeciwnie, skłonny był przypuszczać, że wszystko to jest wytworem fantazji rozbójników, którzy przybyli na Mazury, by ograbić chłopów. Zrodziło się w nim przekonanie, że wszystko to służy jedynie usprawiedliwieniu okrucieństw dokonywanych przez bandytów spod znaku NSZ, UPA i szabru, którzy w roku 1945 zawitali na ziemie mazurskie.

Bo czyż nie mogła zwątpić we wszystko stara Łazarzowa z Krutyni, której mąż, stary komunista niemiecki, człowiek, który w roku 1917 brał udział w Rewolucji Październikowej i który, jak twierdził, rozmawiał z Leninem, został zabity przez bandy po powrocie z hitlerowskiego obozu?

Wstrząsająca historia Łazarza z Krutyni nie była wypadkiem odosobnionym. Takie rzeczy zdarzały się, póki się nie umocniła władza ludowa. Przedtem, nim władza ludowa mogła przystąpić do budowy polskich szkół, świetlic, domów kultury — panami życia i śmierci mazurskiej ludności w wielu wsiach i na rozległych terenach byli rycerze z ryngrafami z Matką Boską na piersiach, którzy palili wsie, gwałcili, obcinali kobietom piersi, rabowali. A przy tym podawali się za prawowitych przedstawicieli Polski. Rzeczywiście, mówili po polsku, choć poza tym nic z Polską wspólnego nie mieli.

Władza ludowa zaprowadziła porządek okupiwszy to krwią żołnierzy, milicjantów, funkcjonariuszy bezpieczeństwa, aktywistów partyjnych. Wiele strzałów słyszały i wiele krwi widziały mazurskie lasy. Władza ludowa położyła koniec panowaniu leśnych „obrońców wolności", którzy w pamięci Mazurów zapisali się gorzej niż Hitler i wojna. Ale z tych czasów pozostał osad nieufności.

Mazur od wieków uczył się niedowierzania. Uczyli go tego Krzyżacy. Uczył go hetman polny Gosiewski, który na czele hord tatarskich i polskich rzezimieszków mścił się na Mazurach, zamiast na zdradzieckim elektorze. Nieufności uczyli go Szwedzi, a potem królewsko-pruscy landraci, kajzerowscy żandarmi i hitlerowskie bojówki SA. Zbóje z „Heimatdienstu" pałkami wybijali z niego skłonność do mówienia po polsku. A jednocześnie junkierska, pruska propaganda wbijała mu w głowę, że przyczyną wszystkich nieszczęść, wszystkich upokorzeń, jakie znosić musiała ludność mazurska, jest sąsiedztwo „dzikiej, dyszącej żądzą mordu i grabieży Polski". „Blutiges Grentzland" — ta nazwa najpełniej charakteryzuje atmosferę strachu, którą niemieccy „Kulturträgerzy" przepoić chcieli dusze ludności mazurskiej. I stąd wśród niektórych Mazurów rodzić się poczęło uczucie własnej odrębności — wrogiem jest Niemiec, ale i Polak, obywatel nieznanego, niepokojącego kraju. Potrafili to wykorzystać dla swej polityki niemieccy szowiniści. Kartki plebiscytowe z roku 1920 nosiły z jednej strony napis „Polen" a z drugiej „Ostpreussen". Ostpreussen, a nie Deutschland. Mamili Niemcy Mazurów widziadłem autonomii. Stopniowo, systematycznie i chytrze tworzyli mit wrogości Polaków do Mazurów.

I oto nadszedł rok 1945 — pierwsze spotkanie z Polską. Z Polski przybywa na Mazury słaba jeszcze, często nieudolna władza ludowa, która zaczyna dzielić junkierską ziemię. Przybywają też niestety „rycerze Matki Boskiej", przybywają hordy szabrowników, przyjeżdżają ciemni nieraz, czasem opętani NSZ-owską propagandą osadnicy, w wielu wypadkach kułacy łasi na niemieckie mienie. Do rejestru tych spraw doliczyć trzeba działalność pewnych elementów nacjonalistycznych, które w pierwszym okresie usadowiły się tu i ówdzie we władzach. Trzy — cztery lata minęły, zanim udało się oczyścić mazurskie lasy od zbójów nazywających się jak na pośmiewisko „obrońcami wolności", a miasta od typów, które nie chciały odróżnić mazurskich chłopów od hitlerowskich żandarmów i SS-manów. Dodajmy do tego działalność „Werwolfu", wyczyny band UPA, które zawędrowały aż tutaj — a będziemy mieli pewien obraz tego co przeżył mazurski chłop.

Ileż mądrej, dalekowzrocznej, pełnej wyrozumiałości i zrozumienia pracy trzeba, by wszystko to naprawić, by przywrócić tym ludziom właściwe spojrzenie na świat i własną ojczyznę!

Kazimierz Dziewanowski
Andrzej Berkowicz

PROMIŃSKI

W I A D A N I A

UPRZEJMOŚĆ STARCÓW

Drzemałem już, kiedy szarpnięcie drzwi od przedziału obróciło mnie na polstrze mojej górnej ławki. W świetle bijącym z korytarza zobaczyłem głowę pokrytą siwizną i dyg całego korpusu w momencie przepychania walizki przez szparę. Pociąg nabierał chyżości i cisnąc kantem lecących drzwi nie chciał pasażera wpuścić.

— A, to zaraz państwa poznałem — powiedział nowoprzybyły do dwojga osób, które wsiadły po mnie i pozostały dotąd zupełnymi anonimami w ciemnościach. — Pozwolicie, że przy was spocznę trochę, bo mnie nożyska rozbolały i ustać trudno. W trzeciej jechałem z synem, ale tam niemożliwy tłok.

— Kolega znowu do Krakowa? — powitał go męski głos, trochę, ale niewiele młodszy. — Zrób, Mila, miejsce...

— Dziękuję. Uf, lepiej... W południe telefon dostaliśmy, że żonie się pogorszyło. Doktor mówi, że paraliż postępuje. W południe, mówił, był dotąd... prawa ręka... Po co ja ją wiozłem?! Myślałem, że biedaczce pomogę, a teraz żeby prędzej do domu...

— Czy naprawdę jest aż tak źle? — odezwała się osoba nazwana Milą. — Doktorzy l u b i e j ą przesadzać. Pani, o ile znam, kobieta krzepka w sobie i w sile wieku... Co to się właściwie stało? Musiało ją zawiać...

— Zawiało ją, łaskawa pani, tak. Jutro tydzień będzie, jak się położyła na grypę, zwyczajną, doktor Fleiss nawet o penicylinie nie chciał słyszeć. I widzi pani?.. Wychodząc na stronę... Od razu ją powaliło. Z mówieniem także... powiadają, że już nie mówi. Byle ją teraz żywą z powrotem!

— A dlaczego koledze zależy tak na pośpiechu? — wtrącił drugi mężczyzna.

— Bo pieniędzy już nie mam. I tak na samochód w tamtą stronę i córka, i drugi zięć się złożyli. To strasznie wszystko kosztuje. A liczmy teraz powrót z oprawą... bo to i ludzi jakichś potrzeba, i taryfa...

Co tu dużo gadać, niezła trumna, ocynkowana, z liściem dębowym i z dodatkami będzie — cztery tysiące. Kolego — nachylił się — czy mnie przysługuje w danym razie na koszt kolei?

— Nie, o ile mnie się zdaje, to nie. W jedną stronę — to tak, ale nie... z ciałem.

— Dlatego też mówię, żeby ją żywą dowieźć!.. — Tu załkał sucho stary kolejarz w zupełnym pomieszaniu uczuć. Śmierć goniła w jego myślach pieniądze, a pieniądze śmierć.

— Uspokój się pan — wyperswadowała łagodnie Mila. — Tak już jest z życiem. Jest, jest, a potem nie ma. To mówi pan, że doktor Fleiss żonę leczył?

— Fleiss. — I rozzłościł się na doktora. — Taka też opieka! On sam już do świętego Pietra puka, co tu wymagać?

— Tak — potwierdziła Yvette. — Stały, jak się zdaje, za długo. Ale czy to znowu szkoda tak wielka? Na wiosnę mają one naprawdę mało substancji odżywczych.

Zsadziła Paula z kolan i oboje z mężem zajęli się w milczeniu czymś innym.

— No, nie wiem, bo wiek jeszcze nie bardzo...

— Ale swoje sześćdziesiąt osiem ma i ze strzykawką dla siebie chodzi, bo się boi zawału. Ręce mu się strasznie trzęsą.

Potem była jeszcze ogólnie mowa o słuchu i wzroku, który się z wiekiem psuje, i o innych dolegliwościach. Panowie wymienili cyfrę dioptrii w używanych przez siebie szkłach, wspomnieli o trąbce z mikrofonem, jakby o micie dalekim, tudzież wymienili po nazwiskach kilku starców w miasteczku, którym — żeby tak rzec — było z brzegu.

— O, ten! — zarżał starszy kolejarz zapominając chwilowo o żonie — osiemdziesiąt dwa r o k i! — (Błąd językowy, który mnie dotknął do żywego, gdyż cierpienie nie powinno się ośmieszać). — A Frukta, ten bielutki, siedemdziesiąt osiem. Na pewno czas.

Kiedy była mowa o kobietach, pani Mila próbowała im delikatnie odejmować po dwa albo trzy lata.

Ponieważ temat rozmowy się wyczerpywał i przestanki między zdaniami rosły — zasnąłem.

Obudziły mnie wstrząsy wagonu na zwrotnicach już w obrębie dworca Kraków; pociąg leciał jak opętany. Zeskoczyłem w chwili, kiedy dotknięty nieszczęściami kolejarz żegnał się ze swymi znajomymi przekładając walizkę w ręku do ucałowania rąk pani. Nie miał sześćdziesięciu lat i wyglądał jak dyplomata, oszroniony siwizną na skroniach. Ale prostak w uczuciach — pomyślałem — prostak, kiedy usta otworzy. Czy miałem słuszność? Zastanowię się jeszcze.

W ferworze życzliwych słów na pożegnanie pani Mila powiedziała: — A niech pan nie zapomni żony pozdrowić.

Gdy tamten zniknął pierwszy w korytarzu, mąż zganił ją za to:

— Jak mogłaś! Ona w agonii, a ty ją każesz pozdrawiać!

— Tak jakoś... Trudno kogoś nie pozdrowić przy pożegnaniu... A zresztą, czy to na pewno? Chyba było mu przyjemniej, że tak jakby nigdy nic...

KRZYWY OBCAS

Przed samym wyjazdem na dwa tygodnie w góry zorientowałem się, że obcasy u moich półbutów są porządnie zdeptane i przez to nadają wygląd zaniedbania całej parze tego przyzwoitego skądinąd, szytego na zamówienie obuwia. Przewidując, że tak zły stan garderoby może stać się ujemną rekomendacją mojej osoby w pensjonacie, postanowiłem natychmiast temu zaradzić i rozejrzeć się za szewcem. Żadna spółdzielnia, jak się należy domyślać, nie mogła się podjąć reperacji na poczekaniu, skorzystałem więc z ogłoszenia prywatnego przedsiębiorcy, z a d v e r t i s e m e n t umieszczonego na parkanie koślawymi wersalikami na kawałku tektury, zapisanej w taki sposób, w jaki dzieci bawią się w drukarstwo, tzn. że trzy rządki liter przytykały do siebie bezpośrednio, bez światła: „NAPRAWIAM BUTY TANIO i ELEGANCKO..." W dole podano adres. Zwróciłem uwagę na ten anons już przed kilkoma dniami, a teraz nie miałem wyboru. Ostatecznie szewcy nie bywają kaligrafami.

Przedsionek, do którego trafiłem po dłuższym wymacywaniu drzwi w parterze mrocznej klatki schodowej, cuchnął przypalonym mlekiem i pleśnią, tak jak było mniej więcej do przewidzenia, a duży pokój z werandą, północny i zagracony, też mi nie sprawił niespodzianki. Do mistrza pracującego na werandzie zaprowadziła mnie młoda kobieta z włosami w papilotach, zaspana, w szlafroku i z butelką do karmienia niemowląt w ręce. Niemowlęcia jakoś nie zobaczyłem, ani nie usłyszałem, widocznie obok była jeszcze druga izba.

Szewc, stary, łysy, suchy i z okularami w drucianej oprawce (tak się rysuje szewców w czytankach dla starszych dzieci) z początku nie zwracał na mnie uwagi, poklepując damskie pantofle na prawidłach, ale już wiedział, o co chodzi, bo mu rzecz grzecznie wyjaśniłem i podałem buty przez parapet okienny. Tak więc na dłuższą chwilę zostałem skazany na samotne rozmyślania w skarpetkach, na krześle podanym mi uprzejmie przez niekarmiącą matkę. Na werandzie znajdowała się jeszcze trzecia osoba, pracująca tasakiem przy mięsie na sznycle, w której, wychyliwszy się niedyskretnie, rozpoznałem bez trudu matkę kobiety w papilotach. Te same chazarskie rysy, trochę brunatne i nalane, oczy — choć ogniste, — ale bez brwi i przez to trochę rybie. Osoba na werandzie odznaczała się potężną tuszą, w której roztopiły się ślady jakiegoś domniemanego powabu sprzed trzydziestu lat. To wszystko — co tu filozofować? Szewc manewrował szydłem wśród nieprzyjaznych grymasów dla opornej materii, a gdy się już zapatrzyłem bezmyślnie, wrzasnął aż mnie poderwało:

— Córka!

Cóż to za dziwne zawołanie! Tak jakby imienia nie miała... Wyszła do niego na werandę, a wtedy jej wetknął wyciągając rękę za siebie dwa młotki do prażenia wosku. —

D a j e t o w u h l e. C z t o b g o r i a c z e b y ł y, p o m n i!

— Dobrze, papo — odpowiedziała mu po polsku.

Aha — zacząłem rozmyślać na nowo — krzyknąłeś po prostu: „Docz!", tylko w języku, z którym mimo wieloletniego pobytu w obcym kraju nie pogodziłeś się dotąd na dobre. Emigrant?.. Ale z jakiego najściślej czasu? Ożeniony z Polką, czy pół-Cyganką, czy Żydówką? Zły jak grzechotnik i zasuszony pod murem ogniowym sąsiedniej kamienicy, z której spływało dzikie wino i deszcz...

Zabierając się do moich bucików przybrał pogodniejszy wyraz twarzy. Przyjrzał się im, pochwalił, zgiął podeszew: S t a l u n k o w e, b u m a g i n i e t — i zrobił plan pracy — Z d j e ł a j e m, k a ż e t s i a, t a k! — Po czym wyrwał obcęgami pół fleka z resztą blaszki, coś tam uszkodził, zaklepał, dobrał listewkę skóry i obłożył kołkami i gwoździkami, które ślinił, ustawiał w otworkach, popychał, zaginał, wyrywał, znowu wbijał. Przypatrywałem się tej operacji z trwogą, jak pacjent nie ufający ręce doktora. Jeden płatek skóry okazał się niewystarczający, przyłożył go drugim, grubszym. — Szkóru wam daję ekstra — zgoła optymistycznie potraktował moje zainteresowanie, nie uzupełnione — broń Boże — żadnym słowem krytyki, bałem się starego szewca zasmucić. Ale kiedy jeden but z grubsza zreperowany odstawił na bok, nie dowierzałem po prostu jego monstrualności. Coś na obcasie wyrosło z boku, co przypominało brunatną grudę, a staruszek sam niezupełnie pewny efektu wytłumaczył, że to zamiast blaszki, gdyż od zewnątrz zbijam obcas mocniej, idealne chodzenie i n i e s t u c z y t' — jak zapewnił, na takiej skórze!.. Przez trzy miesiące się u niego nie zjawię. Pomyślałem, że dłużej, a może i wcale...

Gdy drugi but ukończył, wywecował obydwa woskiem i sparzył się przy tym na żelazkach, które mu córka za mocno podgrzała. Już taki dom, że mleko się musi przypalić, na werandzie zacieknie aż balię podstawiaj, albo ktoś ukradnie ziemniaków z piwnicy. Pogustował, postawiwszy półbuty dość daleko od mojej ręki, i powiedział, nie bez śladu surowszej oceny, że się inaczej nie dało. — Policzę niedrogo — dorzucił, jakby mi o to wyłącznie chodziło, i rzeczywiście wymienił połowę ceny, jaką się za podobną usługę płaci. I spojrzał mi przy tym w oczy wyczekująco, niepewnie, z zapytaniem, które rozpoczął i utopił w ruchomej grdyce: czy jeszcze kiedykolwiek do niego przyjdę? Chciał mi zapakować buty w gazetę, z której jedną kartkę rozpoznałem w niechlujnie skręconych papilotach córki, ale zorientował się, że przecież je wdziewam, i przeprosił. Skończyło się więc na tym, że oceniwszy go z początku nieprzyjaźnie, pożegnałem z sympatią. Córka ukłoniła mi się przy drzwiach w pas, jak czternastoletni chłopak. Wyszedłem kuśtykając, jakbym miał zbite grudki śniegu pod piętą.

*

Robiąc forsowne spacery w górach musiałem co dnia odcinać nożykiem do golenia po kawałku z obcasa tak hojnie nałożonego i z dobrej „szkóry" przez biednego emigranta. Obcas wyciskał się jakoś poza resztę fleków i po dwóch tygodniach nie pozostało po nim śladu. Ale nie żałuję swej pomyłki i powrócę pod adres: BUTY NAPRAWIAM TANIO I ELEGANCKO... A nuż następnym razem uda się staremu lepiej? Mój Boże — czy mam w końcu tę pewność, że to opowiadanie na przykład nie jest takim krzywym obcasem, po którym ktoś odwróci kartkę z niechęcią, a jakże byłoby mi przykro, gdyby z tego powodu nie miał czytać innych, które jeszcze napiszę.

Marian Promiński

LUDWIK GRZENIEWSKI

Nad przekładem „Wasyla Tiorkina"

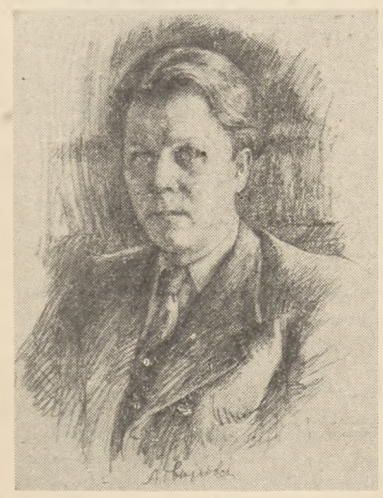

Zacznę od osobistej dygresji. Słyszałem wiele o sławie bohatera poematu, ale długo jakoś nie miałem okazji do zawarcia z nim znajomości. Aż raz przeglądając któryś z numerów pisma „Ogoniok" natknąłem się na reprodukcję znanego obrazu Nieprincewa „Wasyl Tiorkin", z Wszechzwiązkowej Wystawy 1951 roku. Gdzieś na przyfrontowej polance, zimą, na śniegu, grupka czołgistów, piechurów i żołnierzy łączności, którzy zapewne dopiero wrócili z wypadu — otacza naszego zucha. Właśnie padła pointa opowieści, słuchacze śmieją się, a Wasyl za moment przyślini bibułkę i zaciągnie się skrętem. Ej, bracie — pomyślałem — trzeba cię poznać bliżej. Wbrew bowiem sugestiom wielu wrogów t.zw. „anegdoty" w malarstwie, uważam, że jeśli obraz powstający pod wpływem inspiracji dzieła literackiego jest dobry, to znaczy, że i samo dzieło jest takież, albo jeszcze lepsze. Sięgnąłem po poemat Twardowskiego. Nie zawiodłem się. Nie chcę tu pisać rzeczy znanych i powtarzanych tylekroć. Jest w tym „poemacie o życiu żołnierza", pisanym w latach Wielkiej Wojny Narodowej, rzetelna prawda o radzieckim żołnierzu, jest prosta i piękna poezja. Jest to poemat słów prostych, jasnych i szczerych: „Wot stichi, a wsie poniatno, wsie na russkom jazykie"... Jest tu prawda opowiedziana poprzez zwykłe fakty i trudne zdarzenia; jest wiedza psychologiczna, którą znajdziesz w każdym szczególe, ot, chociażby w owej zabawnej opowieści, kiedy to na urlopie położony w czystym łóżku na dwóch aż prześcieradłach, frontowiec zasypia dopiero wtedy, gdy naciśnie na głowę „uszankę", przesiąkniętą jak to mówią: ziemią — prochem.

„Tu pamiętne chwile spotkasz w tym żołnierskim poemacie". A więc czytałem, czytałem z pasją wiersze wpisywane do zeszytu przy drogach zagubionych, wśród spalonych chat, zgrabiałą ręką „gdym zębami wściekle ściągał rękawicę swą na mrozie" — jak wyznaje autor; wiersze pisane po to, „aby na wojnie, w boju, ludziom przynosiły trochę ciepła".

Teraz czytałem „Wasyla Tiorkina" po raz drugi. Tym razem w dwu wersjach: po rosyjsku i po polsku, w przekładzie Włodzimierza Boruńskiego *). Czytelnik trochę zgryźliwy zapyta: no i co, gorsze od oryginału? Jasne, że gorsze, ja wolę nawet Puszkina w oryginale niż w przekładzie Tuwima... „Nie wykręcaj się sianem — odpowiecie. — Powiedz co sądzisz o przekładzie". Przekład Boruńskiego wydaje mi się — jako całość — udany, mimo jednego dużego błędu i wielu, wielu usterek, o których w miarę możliwości pomówimy. Oczywiście recenzja tomu przekładów poetyckich pisana dla tygodnika literackiego musi być zawsze w pewien sposób nieuczciwa; mogę dać wyniki przeprowadzonej analizy i parę wyrwanych — chociaż niby to coś mówiących — przykładów; gdybym dał całość analizy, redaktor wyrzuciłby mnie razem z tym elaboratem z redakcji.

Zasadniczy błąd tłumacza polega na błędnej koncepcji przekładowej zastosowanej w przekładzie pierwszej części poematu. Boruński pracowicie zakuwa ją w męskie rymy, wbrew duchowi i wbrew możliwościom poezji polskiej. Jak wiadomo rym męski panuje w poezji rosyjskiej na równi z żeńskim, osiąga nawet pewną przewagę, w poezji polskiej zaś rym męski zjawia się niezmiernie rzadko i to wyłącznie w krótkich utworach. Wprowadzając do przekładu tę samą ilość rymów męskich, co w rosyjskim tłumacz musi ograniczyć myśl i język. Ubóstwo rymów pociąga za sobą ubóstwo języka i obrazowania, stawiając tłumacza w sytuacji ubogiego krewnego. Boruński zapomniał tutaj o podstawowej tezie, że styl przekładu poetyckiego przejawia się w specyfice systemu językowego, który wymaga odpowiedników nie formalnych, lecz funkcjonalnych. (Nie mogę wdawać się w wyjaśnienie skomplikowanych kwestii koncepcji przekładowych w odniesieniu do tłumaczeń poezji rosyjskiej; sprawy naturalnego toku amfibrachiczno - trocheicznego języka polskiego różnego od jambicznego toku języka rosyjskiego — zainteresowanych odsyłam do artykułów Adama Ważyka: „O tłumaczeniu wierszy rosyjskich" w książce „W stronę humanizmu" i „Polska strofa Oniegina", „Kuźnica" Nr 188, oraz wyjątkowo instruktywnej w tychże zagadnieniach recenzji Seweryna Pollaka z nowego przekładu Oniegina, zamieszczonej w Nr 142 „Nowej Kultury").

Mimo, że niektóre rozdziały (np. „Na postoju", „O wojnie", „O nagrodzie") wyszły nienajgorzej, to jednak przekład części pierwszej jest poniżej możliwości przekładowych i poniżej możliwości samego tłumacza. Polowanie na męski rym sprawiło, że Boruński zubaża wielokrotnie zawartość treściową, a czasem, co gorsza, daje tekst niejasny. Weźmy przykład: Oto dwie strofki oryginału i przekładu:

„W pole wjuga — zawierucha,
W triech wierstach gudit wojna.
Na pieczi w izbie starucha,
Died — chozjain u okna.
Rwutsja miny. Zwuk znakomyj
Otzywajetsja w spinie.
Eto znaczit — Tiorkin doma,
Tiorkin snowa na wojnie".

„W polu zamieć, zawierucha,
Wojna grzmi na cały świat.
W izbie grzeje się starucha
I gospodarz — stary dziad.
Gdzieś tam wybuch, jakby w niebie
(Znamy w plecach dreszczyk ów),
Tiorkin zatem, znów u siebie,
Tiorkin jest na wojnie znów".

Naumyślnie wybrałem fragment przekładu wcale nie rażący (tylko te dwukrotne „znów" zgrzyta w czytaniu), ale porównanie go z oryginałem wykazuje o ileż treści znaczeniowych przekład jest uboższy, ile określeń po prostu wylatuje.

W części pierwszej szczególnie rozdział „Pojedynek" wydaje mi się niedobry. Rażą określenia typu „znów faszysta mu zasunął", „granat wyjął i granatem bęc go w migdał, lu go w kość", po czym dla rymu następuje: „jęknął wróg i miał już dość"; można by również przytoczyć sporo strofek przełożonych źle, tak jak ta opisująca żołnierza hitlerowskiego:

„Wymuskany, ogolony,
Cóż, darmozjad wykarmiony;
Wojna — ziemię cudzą skradł,
W cieple wyspał się psubrat". (str. 84)

Druga i trzecia część — przełożone na zasadzie innej koncepcji przekładowej — są o wiele lepsze od pierwszej. Szczególnie korzystnie wyróżniają się rozdziały: „O miłości", „Śmierć i żołnierz", „Tiorkin-Tiorkin", „W drodze na Berlin". Oczywiście dokładna analiza wykaże i tutaj wiele usterek i błędów. Czasem znajdziemy strofkę zrymowaną nieudolnie („Nogi z biedy by cię niosły: — Gdzie jest obcy kraj, gdzie własny? — Gdzie ten front i gdzie jest Rosja? — swoje to czy obce miasta?" — str. 132); czasem zdanie nieprecyzyjnie zbudowane („Wszystkich tych zastrzeżeń wagę Tiorkin **więc** gruntownie zbadał" — str. 146); czasem wyrażenie niezręczne, rażące, np. „szli na front gdy ojczyzna **zwała**" (w znaczeniu — wzywała) — str. 138. Czasem również trafi się fragment zdecydowanie słaby:

„A na lewym
Już bagnety w strasznym gniewie
Pchają wroga w wodę — giń.
A ty, wodo, sobie płyń... (str. 206)

Ale to są wyniki czytania przekładu z oryginałem w ręku. Jako całość czytany jednym ciągiem jak tekst polski, poemat brzmi udatnie. Jest wiele, wiele fragmentów, w których tłumaczowi udało się znaleźć ekwiwalent dla pięknych strof Twardowskiego. Np. porównajmy:

„I Rossija — mat' rodnaja —
Poczest' wsiem otdast społna.
Boj inoj, pora inaja,
Żizń odna i smert' odna".

„Rosja — matka, kraj rodzinny
Uczci wszystkich należycie.
Bój jest inny, czas jest inny.
Jedna śmierć i jedno życie". (str. 137)

Prosty jasny, i jakże pełen znaczenia wiersz Twardowskiego nie jest łatwy do przełożenia. Przy czym przełożyć dwustustronicowy poemat jest o wiele trudniej niż krótki wiersz. Co rozdział to inny nastrój, co strona to nowe rafy dla tłumacza. Włodzimierz Boruński pracował nad „Wasylem Tiorkinem" dwa lata, a sądzimy, że wiele jeszcze w poemacie — w następnych wydaniach — zmieni na lepsze. Doświadczenie uczy, że przekłady większych całości poetyckich ostateczny kształt zawdzięczały mozolnym, wieloletnim trudom i wielokrotnym przeróbkom. Nie od razu przekład poetycki ukończono... A poemat Twardowskiego wart jest takiego trudu — to pewne!

Ludwik Grzeniewski

*) Aleksander Twardowski. W a s y l T i o r k i n. Przełożył Włodzimierz Boruński. Wyd. MON, 1953. Str. 240.

JANINA PREGER

Moc iskry

Moc iskry uzależniona jest od uderzenia krzemieniem w stal"...

„Im silniej biły działa białogwardyjskie, tym więcej krzesały ognia z dusz ludzkich" — mówi o żołnierzach Armii Czerwonej Wsjewołod Iwanow w swojej powieści biograficznej o Parchomience *). Istotnie, powieść jego jest pełna owego ognia, który tak trudno wydobyć z papieru i ze słów literatury — a który jednak czasem się na stronicach książek pojawia.

Przekład tej wybitnej pozycji ukazał się u nas niedawno w drugim wydaniu jako wydawnictwo „Biblioteki Prasy".

Jest to szeroko zakrojony utwór epicki o autentycznym bohaterze ludowym Rewolucji Październikowej. Poza wielką i porywającą postacią widać w książce Iwanowa owe szeregi ludowe, które wydają bohaterów. Są one na równi z Parchomienką bohaterem tej książki, stoją obok niego — bohater jest tylko ich najwymowniejszym przedstawicielem. Powieść o Parchomience obejmuje czas od rewolucji 1905 r. do rozgromienia przez władzę radziecką machnowców, pod koniec wojny domowej. Została w książce zawarta wielka fala rewolucji.

Kompozycję utworu oparł autor na chronologii zdarzeń historycznych, w powieści swojej przemawia często surowym stylem relacji o rozwoju wypadków, stylem rzeczowej kroniki faktów, dokumentarnego życiorysu.

Obok wątku głównego: dziejów Parchomienki i dziejów Rewolucji Październikowej, który wypełnia najliczniejsze i najważniejsze karty książki, równolegle rozwija się wątek przeciwstawny: wątek międzynarodowej intrygi burżuazji knującej spisek na zgubę władzy radzieckiej. W ten sposób wypadki powieści toczą się niejako na dwóch płaszczyznach moralnych — na jednej widzimy rośnięcie człowieka, na drugiej upadek człowieka. Rywalizacja, jaką na pierwszych kartach książki podejmuje z prostym robotnikiem ługańskiej fabryki, Aleksandrem Parchomienką, zajadły reakcjonista-student Straub, snujący marzenia o nadczłowieczeństwie i faszystowskim (avant la lettre) „uporządkowaniu" świata, zapewniającym „wieczną" nietykalność kapitału i własności — rywalizacja ta rozgrywa się w całym toku akcji powieści. W jej wyniku Straub ponosi zupełną klęskę: nawet we własnych oczach stacza się on na dno nędzy moralnej, bankrutuje.

Najciekawsze strony powieści poświęcone są stronie pozytywnej. Obok surowej rzeczowości uderza w książce romantyzm. Nie ma to nic wspólnego z melodramatycznymi efektami ani ze sztuczną koturnowością. Romantyzm tkwi w porywająco przedstawionej postaci bohatera W postaciach żołnierzy szeregowych i przywódców partii. Parchomienko w relacji Iwanowa to doprawdy nie byle kto, to wspaniała indywidualność. Ta wybitna indywidualność podbija czytelnika, mimo że przecież scenę tej typowo epickiej powieści zajmuje właściwie wielki zbiorowy bohater: rewolucja, lud. Z obrazu ludowego bohaterstwa, z piękna prawdziwych faktów wyłania się pociągająca i imponująca postać człowieka o wspaniałym charakterze: mężnego, kochającego wolność, znającego żart i niezłomną odwagę, szczerego i inteligentnego, pełnego energii i talentu. Po powrocie z więzienia mówi Parchomienko do żony: „Widzisz, Tino, przez cztery lata wypędzali ze mnie wolność. A czy dużo ze mnie wygnali? Żyję! Żyję i będę żyć nie po to, by rozmyślać, co mnie czeka, będę żyć po to, żeby pokazać, co we mnie tkwi. Nie odkładamy poczęstunku na święta, stawiamy wszystko na stół".

Dynamizm tej postaci urzeka. A przecież nie popada tu autor w żadne nieporozumienia; nie ma w książce bynajmniej chwalby rozkiełznanej żywiołowości. Energią bohaterów bolszewickich rządzi rozum, myśl kierownicza, rządzi najlepsza idea. To nie energia jako „cel sam w sobie"; ubóstwienie energii pojętej aspołecznie i amoralnie kompromituje Iwanow w postaci prefaszysty Strauba. Nie ma tu więc fałszywego kultu jednostki — jest tylko trafnie wyrażona przez artystę wartość indywidualności ludzkiej. Piękno jest w ukazaniu wielkiej, wznoszącej się drogi wybitnego człowieka, w ukazaniu tej drogi talentów z ludu, z chłopstwa i proletariatu — w postaciach Parchomienki i Woroszyłowa. W ten sposób książka Iwanowa opowiada dzieje rewolucji. Ukazuje ona sprawy w tym trudnym do odtworzenia świetle, które było istotnie atmosferą owych niezwykłych czasów. Romantyzm rewolucji jest tym, co przemawia z książki Iwanowa. To autor, który istotnie potrafił ukazać rośnięcie ludzi — nie posługując się do tego koturnami ani frazesem. Który umiał w czytelniku budzić podziw dla siły, potęgi człowieka, wyzwolonego przez rewolucję, wydobywającego z siebie ogromny wysiłek i spełniającego niesłychane dotąd zadania (Np. obraz bohaterskiej budowy mostu na Donie przez czerwonoarmistów, podczas gdy atakowały ich „białe" wojska). Powieść Iwanowa wyraża poczucie mocy, jakie tkwi w działaniu rewolucji, wyraża piękno siły charakterów ludzkich. „Świtało. Gdzieniegdzie zjawiały się już szafranowe pasma, połyskliwe jak atłas, choć krańce nieba były jeszcze ciemnofioletowe. Parchomienko czuł, że płonie cały, jak gdyby gorący promień słońca uderzył w niego i oświetlił niby obłok.

— Oj, Ławrusza, nie gorączkuj się, nie męcz ponad miarę — mówił Woroszyłow przy herbacie porannej patrząc badawczo w twarz Parchomienki. — Nawet szablę można stępić przy hartowaniu.

— Wcale się zanadto nie wysilam — rzekł Parchomienko. — Pracuję w miarę moich sił, w sam raz. A jeśli mam płomień na policzkach, to dlatego, że cel, dla którego żyję, jest gorący, z daleka żar od niego bije".

Takie obrazy wśród surowej kroniki faktów mają wielką siłę. Książka tak sugestywnie ukazuje charakter bolszewicki, wspaniały upór rewolucjonistów, ich wytrwałość, niezawodność w wypełnianiu zadań, odwagę w najcięższych sytuacjach, ufność i wiarę w zwycięstwo sprawy — że to zapala czytelnika, opanowuje wyobraźnię. A przecież Iwanow ani na chwilę nie sięga do operowych kostiumów, które czasem tak lubią powieściopisarze. Pisze o ludziach przyzwyczajonych „do ciężkiego kawałka chleba, do prawdy życia bardzo surowej i bardzo pociągającej". Jest to realizm świetnej próby.

Bez obsłonek, ale i bez śladu naturalizmu, oszczędnie i z wielkim dramatyzmem maluje Iwanow trudność szlaków rewolucji, którymi szło się do zwycięstwa. Wstrząsająca jest np. scena, gdy młoda sanitariuszka jest świadkiem, jak ranny oficer białogwardyjski strzela do rannego robotnika i zabija go, sam zaś pada od kuli innego rannego robotnika, który chciał tym strzałem ocalić towarzysza, lecz nie zdążył i udało mu się tylko zabić wroga. Lub opis wędrówki armii Woroszyłowa do Carycyna wśród wojny domowej, sąd wojenny nad zbandyciałym oddziałem Wołoszyna i oczyszczenie w ten sposób Armii Czerwonej z zepsutych elementów. Ukazuje pisarz wielką falę rewolucji, straszne wiry wojny domowej — i partię, która umiała opanować to wzburzone morze, idąc niezłomnie poprzez straszliwe próby. „Parchomienko" należy do wybitnych dzieł epickich klasyki radzieckiej.

Wielki czar tej prozy stanowią humor, obrazowy, aforystyczny język bohaterów i owe pełne świeżości pejzaże, w których, jak w kroplach deszczowych, odzwierciedlają się widoki ukochanej przez autora ziemi ojczystej, wód, stepów, mrozu i posuchy... Trudnym zadaniem było oddać tak pełen specyficzności artyzm tej prozy, ale też zauważyć można, że to, co miało u autora ostrość żwiru i jego barwność w wodzie — w tłumaczeniu wygląda czasem jak wygładzone kamyki, zszarzałe na powietrzu.

Janina Preger

*) Wsjewołod Iwanow: „Parchomienko". Przekład Adama Galisa, Warszawa, 1953. Wyd. MON „Biblioteka Prasy". Tom pierwszy, str. 261 + 1 nlb. tom drugi str. 335 + 1 nlb.

WOJCIECH NATANSON

Rzecz o ludziach i chwastach

Tytuł, który Janusz Warmiński dał swojej nowej sztuce — „Chwasty" — może nas kierować na tropy niezupełnie słuszne. Można by pomyśleć, że w tym utworze, poruszającym palące sprawy naszego życia, chodzi przede wszystkim, czy nawet wyłącznie, o wyrywanie pleniących się chwastów. Oczywiście, że nasza dramaturgia nie powinna i nie może zamykać dziecinnie oczu na to, co w życiu wydaje się ujemne, szkodliwe i niebezpieczne. Cenię w sztuce Warmińskiego tę uczciwą surowość, ten akcent odwagi, którym nas zjednał poprzednio Lutowski w „Krecie", i częściowo Tarn w „Stajni Augiasza". Ale trzeba by bronić „Chwasty" przeciw sugestiom podsuwającym tej sztuce jakąś interpretację zacieśniającą, jednostronną, negatywną. Słowem chodzi mi o to, by w sztuce Warmińskiego dostrzegać nie tylko chwasty — ale i ogród.

Poznajemy młodą dziewczynę wiejską, pracowitą, pełną ambicji i zapału, mocną, energiczną, uczciwą. Nazywa się Anna Sadowska, pracuje znakomicie na stanowisku przewodniczącej spółdzielni produkcyjnej jednej ze wsi województwa gdańskiego. Tej gminie akcja skupu nie bardzo się udaje. Chłopi niezrzeszeni zachowują się albo biernie, albo wręcz wrogo. Przewodniczący Gminnej Rady Narodowej wyraźnie zawodzi przez niedołęstwo czy złą wolę. Sekretarz gminnej organizacji partyjnej, Jaworski, oraz blisko z nim zaprzyjaźniony powiatowy inspektor rolny Szymański — zbyt są ze siebie zadowoleni i zanadto zatroskani o samych siebie — by móc naprawdę skutecznie walczyć. Jedynie Sadowska umie zdobyć zaufanie bezpartyjnych, chłopów uczciwych i lojalnych, choć nieraz jeszcze pełnych wahań (jakim jest np. Zenon Zawada). Ponieważ Sadowska umie pracować i cieszy się zaufaniem chłopów, przedstawiciel Komitetu Powiatowego wysuwa jej kandydaturę na stanowisko przewodniczącej Gminnej Rady Narodowej.

Zadanie ciężkie, odpowiedzialne, trudne i pełne dramatycznych niebezpieczeństw. Wydaje mi się, że Warmiński postąpił bardzo słusznie — tak właśnie układając przesłanki rozpoczynającej się akcji.

Również — kobiecość Anny stwarza dla niej na nowym stanowisku nie tyle niebezpieczeństwa, co poważne komplikacje. Nie zgadzam się z tymi recenzentami, którzy uważają miłosny wątek „Chwastów" za „sztucznie dolepiony" element akcji. Nie, sprawa miłości Anny i młodego Bartczaka, choć w szczegółach może nie dość zręcznie poprowadzona — jest jednak prawdziwa i ludzka. Osobiste sprawy Anny wykorzystywane są przez jej wrogów, wykorzystywane umiejętnie i subtelnie, w pewnych ważnych momentach powikłania, które trzeba rozwikłać, nabierają tego splątania, tej zawiłości, tego wzajemnego na siebie oddziaływania — jakie naprawdę miewają w życiu.

Można by się natomiast, jak sądzę, posprzeczać z autorem o inną przesłankę rozgrywających się przed nami zdarzeń. Autor pokazuje nam Sadowska jako dziewczynę zapaloną, niezdolną do jakiegokolwiek oportunizmu, do poddawania się względom życiowym, na „wygodę". Dlatego zrozumiałym jest, że Anna jeszcze jako przewodnicząca spółdzielni „Czerwony Sztandar" pisze korespondencję do „Trybuny Ludu", gdzie piętnuje samozadowolenie i brak aktywności dwóch miejscowych działaczy, Jaworskiego i Szymańskiego. Czyni to anonimowo i w tajemnicy. Tajemnica nie zostanie zachowana.

Przeciw nowej przewodniczącej Gminnej Rady Narodowej w Broniewie zaczyna się organizować koalicja boleśnie urażonych czy nawet zagrożonych: Jaworskiego, sprytniejszego od niego Szymańskiego, oraz trzymającego wszystkie nici w ręku sekretarza gminy, Ryszczuka. A także: broniących się do upadłego kułaków. Przeciwnicy Sadowskiej rozpoczynają ofensywę już w tym momencie, gdy kandydatura tej dziewczyny na stanowisku przewodniczącej GRN zarysowała się jako projekt. Sprytny i układny Szymański (o którym napisał Stefan Treugutt, że „przy najmniejszym zagrożeniu swej pozycji gotów pokąsać na śmierć") chwyta w lot sposobność zemsty: stanowisko, które ma objąć Sadowska jest trudne, sytuacja dramatyczna, kandydatka niedoświadczona, chłopi rozdrażnieni. Jakże więc łatwo o potknięcie, które uniemożliwi Sadowskiej nie tylko dalszą karierę, ale nawet i powrót na dawne, skromniejsze stanowisko; zdyskredytuje ją, więc i zrehabilituje tych, których zapalona korespondentka nie bez racji nazywała „chwastami". Szymański jest widocznie specjalistą od takich „rozgrywek". Łatwo pociąga za sobą innych, a przypadek daje mu w ręce nowe atuty, świadczące swymi pozorami przeciw młodej działaczce. Ta sytuacja wartościowego człowieka, który zostaje gwałtownie osaczony, przeciw któremu przemawiają pozory rzekomo oczywiste — jest punktem kulminacyjnym utworu i budzi w nas nie tylko głębokie zainteresowanie, ale i najżywszy oddźwięk. Nie trzeba szczegółowo uzasadniać jak bardzo ta sprawa rozszerza perspektywę „Chwastów". Zarazem jednak wydaje mi się, że trzeba tu znów powtórzyć: nie sam tylko mechanizm organizowania owej zasadzki na Sadowską nas tu pasjonuje, nie sama zmowa nikczemników, warchołów, i głupców, ale gorące i męskie spojrzenia na krzywdę indywidualną, która jest (i tutaj i zawsze) nieoddzielna od problemu ogólnej szkody społecznej. Intryga Szymańskiego, Ryszczuka i wspólników szkodzi niewątpliwie należytemu funkcjonowaniu ważnych akcji; sumowanie się tego rodzaju działań stwarzać może szkodę dla państwa. A równocześnie bezpośrednio krzywdząc wartościowego człowieka, intryga ta wiąże się z problemem nieustannej walki przeciw niesprawiedliwościom, walki, która jest przecież jedną z najważniejszych cech i najdonioślejszych funkcji socjalistycznego ustroju.

Nie bez pewnego uzasadnienia mówi w swej recenzji Stefan Treugutt, że „sympatyczna postać dzielnego i inteligentnego działacza partyjnego Wiśniewskiego sprowadza się chwilami do roli magicznej i zawsze obecnej „skrzynki interwencyjnej". Tak się to na pozór wydaje — może dlatego, że nie bardzo rozumiemy tę postać, a może także i dlatego, że autor nie dopowiedział wszystkiego. Wiśniewski działa w obronie Sadowskiej. Działa odważnie, na przekór pozorom, że chodzi mu tutaj o względy osobiste. Oczywiście, że ma sumienie najzupełniej czyste; gorąca obrona Sadowskiej z tego wynika, że według najgłębszego przekonania Wiśniewskiego, przewodnicząca ma rację, nie jej przeciwnicy. Ale równocześnie wolno się domyśleć, że Wiśniewski ma dla młodej działaczki dużo sympatii, że mu się ona podoba, że chciałby zdobyć jej życzliwość -- ofiarowuje jej nawet prezent. Wydaje mi się, że autor sztuki ma tutaj najzupełniejszą rację i że powinien był nawet postawić sprawę jeszcze jaśniej. Że się Sadowska podoba Wiśniewskiemu, ze go chwyciła za serce, że jest bliski zakochania — czyż ma mu to wzbraniać trafnego patrzenia na popełniane wobec niej niesprawiedliwości i krzywdy? Psychologicznie prawdziwe jest takie postawienie sprawy: dostrzeganie krzywdy własnej lub osób nam bliskich nie wyklucza, ale wprost

Janusz Warmiński — „Chwasty" scena z ostatniego aktu.

STEFANIA PODHORSKA-OKOŁÓW

Z CYKLU „WARSZAWA MEGO DZIECIŃSTWA".

Panoramy i wystawy

„Dała mi złotówkę mama
Bym zobaczył panorama".
(z „Bajeczek" Jachowicza)

„Panorama — obraz okrągły, rozłożony na ścianach budynku walcowego w taki sposób, że widz, znajdujący się w środku, widzi przedmioty przedstawione, jakby w rzeczywistości rozglądał cały widnokrąg ze stanowiska wyniesionego".

Tak nas poucza „Słownik języka polskiego" J. Karłowicza, A. Kryńskiego i W. Niedźwiedzkiego. U Lindego jeszcze tego hasła nie ma, widać za jego czasów panoramy u nas nie znano. Ta, którą oglądał za złotówkę chłopczyk z bajeczki Jachowicza, była, zdaje się, po prostu rodzajem stereoskopu, aparatu z przesuwającymi się obrazami, oglądanymi przez szkło powiększające.

Dopiero pod koniec ubiegłego wieku ogarnął Warszawę szał prawdziwych panoram. Zbudowano aż dwa „budynki walcowe". Jeden na Karowej za hotelem „Bristol", drugi przy Oboźnej na tzw. Dynasach. Na Karową zawitały „Tatry", na Dynasy „Golgota". Panorama Tatr stała się olbrzymią atrakcją dla mieszkańców Warszawy. Podhale znajdowało się wówczas „za granicą", czyli za kordonem. Wyjazd do Zakopanego dla wielu osób przedstawiał nieprzezwyciężone trudności, przede wszystkim dlatego, że wymagał paszportu zagranicznego, którego uzyskanie połączone było z licznymi kłopotami i dość poważnym wydatkiem pieniężnym. Podróż koleją do Krakowa, a stamtąd końmi do Zakopanego furką góralską (znacznie później dopiero z Chabówki) była kosztowna i męcząca. Wreszcie nie wszyscy, zwłaszcza ludzie starsi, mogli chodzić w góry wobec braku utorowanych dróg i szlaków wycieczkowych. A tyle się słyszało o cudach przyrody tatrzańskiej od tych szczęśliwców, którzy chlubili się zdobyciem Świnicy, czy bodaj Gubałówki.

Więc tłumy płynęły na Karową, aby parę godzin spędzić w samym sercu gór, tzn. po prostu na okrągłym wzniesieniu pod ciemnikiem, skąd można było do woli oglądać łagodnie oświetloną panoramę Tatr. Aby zmieścić na malowidle największą przestrzeń, obrano za punkt obserwacyjny stosunkowo niewysoki, ale świetnie położony płaski szczyt Miedzianego. Kilku dobrych pejzażystów ówczesnych, obdarzonych żyłką dekoracyjną, przez parę miesięcy letnich obozowało na Miedzianem, sumiennie przenosząc na płótno fragmenty krajobrazu górskiego, z którego złożono później zupełnie udatną całość. Aby osiągnąć całkowite złudzenie prawdy, posługiwano się w niektórych partiach „martwą naturą". Autentyczne pargi niepostrzeżenie przechodziły w osypisko na płótnie. W jednym miejscu, tuż za balustradą, okalającą okrągłą platformę widzów, skonstruowano realistyczną kopię śladów popasu turystów: zatłuszczone papierki, niedopałki papierosów, puste pudełko blaszane po sardynkach, węgle z wygasłego ogniska.

Po platformie przechadzało się dwóch autentycznych przewodników zakopiańskich w pięknych góralskich strojach. Zadaniem ich było pokazywanie zwiedzającym wirchów i dolin, przedstawionych na panoramie. W obszernej okrągłej hali rozlegały się co chwila ich donośne głosy, o typowym podhalańskim akcencie, a wyciągnięte ramię z ciupagą wskazywało wymieniany w objaśnieniu szczyt: Świnicę, Zawrat, Kozi Wirch, Granaty. W nieopalonym budynku było zimno, co stwarzało dla zgromadzonych „ceprów" złudzenie górskiego ostrego powietrza.

Rys. Antoni Uniechowski

Co się stało później z olbrzymim płótnem, które wchłonęło potężną ilość farby i jeszcze większą pracy kilku artystów — nie pamiętam.

W jakiś czas później wykorzystano gmach przy ulicy Karowej na nową panoramę o charakterze historyczno-batalistycznym. Tematem było przejście wojsk napoleońskich przez Berezynę. Twórcami: Wojciech Kossak i Fałat. W robieniu studiów dopomagało im kilku młodych pejzażystów, którzy udali się nad Berezynę pod wieś Studziankę, gdzie blisko sto lat przed tym rozegrał się dramat dziejowy — klęska i rozsypka „Wielkiej Armii".

„Berezyna" różniła się zasadniczą kopcepcją od „Tatr". Tam była sama natura, dzika i niedostępna, bez żywego człowieka. Tutaj krajobraz był tylko tłem, na którym toczyła się walka ludzi z wrogą przyrodą. Walka ta rozłożona była na poszczególne epizody. Środek ciężkości obrazu stanowiły mosty przez Berezynę z tłoczącymi się na nich i spychającymi się do wody ludźmi i końmi. Wprawdzie, jak na normalnym obrazie stalugowym, zastygli oni w bezruchu, co uniemożliwiało osiągnięcie całkowitego złudzenia realnego życia, pomimo to efekt był wstrząsający.

Poza tym głównym momentem nie brak było na panoramie i wielu zręcznie uchwyconych szczegółów historycznych anegdotycznych. Napoleon w pamiętnym sobolowym futrze, krytym zielonym aksamitem, stał obok sań, gotowych do drogi i patrzył na klęskę swej armii. Gdzie indziej grupa aktorek i tancerek, które towarzyszyły pochodowi, aby wziąć udział w galowym przedstawieniu w zdobytej Moskwie, a teraz strojne i spłoszone wyskakiwały z pojazdu, bezradne wobec przepełnionych mostów. Malownicze sylwetki poszczególnych maruderów i rozbitków, rozrzucone po nizinie, przyprószonej śniegiem, potęgowały grozę obrazu jednej z największych klęsk w dziejach. Wreszcie daleko na horyzoncie w rozproszonym świetle szarego zimowego dnia, dostrzec można było pochylone sylwetki jeźdźców i koni w galopie: szarża ułanów polskich, osłaniających odwrót Wielkiej Armii.

„Berezyna" może jeszcze tłumniej odwiedzana niż „Tatry", ze względu na treść, budziła w widzach zupełnie odmienne uczucia od tych, jakich spodziewała się carska cenzura. Klęska Napoleona miała być odstraszającym przykładem dla marzycieli wolności, dla tych wszystkich, którzy kiedykolwiek ośmielili się wątpić w niezwyciężoną potęgę „samodzierżawia". Tymczasem drobny, gdzieś na marginesie obrazu zagubiony epizod szarży ułanów polskich, tych których Napoleon mianował „les braves dex braves" (najwaleczniejsi z walecznych) najmocniej pociągał oczy i zapalał serca ujarzmionych prawników.

Z okresu przygotowawczych prac artystów w terenie wprędce urosła legenda o zjawie niegościnnej dziedziczki. Jeden z malarzy robiących studia z natury w okolicach Studzianki, otrzymał zaproszenie na kwaterę do pobliskiego dworu. Kiedy przybył na miejsce, zmierzchało się. Właściciel był chwilowo nieobecny. Gość, zostawiwszy płaszcz i walizkę w hallu, wszedł do wielkiego salonu. W głębi pokoju na fotelu siedziała staruszka o dostojnym wyglądzie, ubrana w staromodną suknię. Na widok przybyłego wstała i uprzejmym gestem wskazała mu drogę do dalszych pokoi. Malarz skłonił się głęboko i poszedł we wskazanym kierunku. W kilka godzin później nadjechał pan domu.

— Przepraszam pana za moją nieobecność — usprawiedliwiał się przed gościem. — Czy nic panu nie brakowało? Czy pana przyjęto jak należy?

— Ależ tak —odpowiedział malarz. — Wszyscy byli dla mnie bardzo uprzejmi, nawet ta starsza pani, która powitała mnie w salonie, a której nie zdążyłem się przedstawić...

Nie dokończył, zauważywszy dziwną zmianę na twarzy gospodarza.

— Ach, tak — wyrzekł jakby do siebie pan domu. — Więc i pan także...

Gość zrozumiał, że popełnił nietakt, potrącając jakąś drażliwą strunę.

— Widzi pan — zaczął tłumaczyć się gospodarz — witała pana moja już dawno nieżyjąca prababka. Istnieje tradycja, że była to kobieta bardzo niegościnna — nie puszczała za próg nawet ludzi wyjątkowo zdrożonych wycieńczonych, choćby niedobitków napoleońskiej armii, których konieczność zmuszała do szukania chwilowego schronienia u obcych. Otóż okoliczny lud twierdzi, że musi ona za karę witać po śmierci każdego, kto po raz pierwszy zawita, jako gość do tego domu. Nikomu z naszej rodziny się nie pokazała, bo nie jesteśmy tu gośćmi, ale domownikami, nie ma chyba jednak ani jednego przyjezdnego, który by jej nie zobaczył w jej pośmiertnej roli gościnnej gospodyni.

Zrozumiałą jest rzeczą, że legenda ta mogła powstać jedynie w środowisku przesyconym tą samą atmosferą, w której zrodziły się Mickiewiczowskie „Dziady"...

*

Znacznie niższym poziomem artystycznym odróżniała się od Tatr i Berezyny panorama „Golgota" Styki, wystawiona w gmachu na Dynasach, za to pociągała rzesze wierzących mocnymi efektami religijnymi i jaskrawym kolorytem. Płótno rozpięte było półkręgiem, nie była to więc panorama w ścisłym znaczeniu tego słowa. Nazywano ją „dioramą".

Ale już po paru latach epidemia panoram wygasła równie szybko, jak wybuchła.

Stefania Podhorska-Okołów

---

przeciwnie ułatwia wyczucie krzywdy cudzej. Wiśniewski nie wydaje mi się więc „skrzynką interwencyjną", dobrym i bezmamiętnym „przeznaczeniem", jakimś „deus ex machina". Sprawy, o które tu chodzi są mu bliskie. Sadowską chce ocalić nie tylko dlatego, że poczuwa się do odpowiedzialności za wysunięcie jej na trudne stanowisko. Że go posądzą nawet o romans, mniejsza w tej chwili i o to. Nie byłby w porządku dopiero wtedy, gdyby chciał pokrzyżować sprawę Sadowskiej i młodego Bartczaka. Że aż do tej granicy może działać zarówno ze względów słuszności jak i powodowany sympatią do nieobojętnej mu w gruncie rzeczy dziewczyny — nie tylko nie wydaje mi się błędem ale wprost przeciwnie, może dodać sprawie kolorów bardziej jeszcze ludzkiego i uzasadnionego prawdopodobieństwa.

*

Jest już widocznie prawem zwyczajowym, że prapremiery sztuk Warmińskiego reżyseruje — Warmiński. Te dwie indywidualności artystyczne zdają się wobec siebie zachowywać pełną niezależność. Warmiński-autor nie czyni żadnych koncesji inscenizatorowi czy kierownikowi artystycznemu teatru. Warmiński - reżyser traktuje swe własne sztuki z surową i nieustępliwą przedmiotowością.

Oto na przykład w „Chwastach" autor tak sztukę zbudował, że Anna Sadowska jest wśród ośmiu postaci męskich jedyną w utworze rolą kobiecą. A przecież były okazje, by tę sytuację zmienić. Mówi np. sporo o Marysi Zawadziance, córce Zenona Zawady, dziewczynie, która niesłusznie zresztą uchodziła za rywalkę Anny w sercu Andrzeja, a z drugiej strony staje się mimowolnym motorem działań chuligana Królaka. Byłoby rzeczą nietylko możliwą ale może i pożądaną pokazać tę gorącokrwistą dziewczynę i może nawet przeciwstawić jej stopień uświadomienia społecznego — umysłowości Anny. Autor „Chwastów" wyrzekł się tej pokusy. Nie pokazał nam także żony Zawady, która przez swoje manewry ze zbożem dla kur mimo woli przyczynia się do chuligańskiej akcji Królaka. Skoro więc Anna Sadowska jest jedyną postacią kobiecą w sztuce, skoro przypadają jej w utworze rozliczne i bardzo istotne zadania, tym bardziej się zwiększa odpowiedzialność reżysera za najlepsze obsadzenie tej roli. Wydaje mi się, że w ujęciu Heleny Dąbrowskiej bohaterka sztuki jest za mało bojowa, za mało entuzjastyczna, za mało nowoczesna. Wiemy i rozumiemy, że walka, jaką toczy przewodnicząca gminnej rady — jest ciężkim zmaganiem. Ale tak to chwilami wyglądało, jakby sama protagonistka nie zanadto ufała konieczności swego zwycięstwa. A przecież, jeśli mamy uwierzyć w sugestywny wpływ Anny na chłopów, trudno przyjąć taki odcień defetyzmu w ruchach, w postawach, w intonacjach jaki widzieliśmy na scenie. Sprawy osobiste Anny, jej miłość do Andrzeja, też nosiły na sobie w tym ujęciu jakieś akcenty przygaszenia i rezygnacji; szczególnie w akcie I także się odnosiło wrażenie, jakby Anna chciała się po prostu pozbyć narzeczonego, jakby ją z nim już nic nie łączyło. A przecież, jeśli dobrze rozumieć sens utworu, Sadowska jest tylko zdenerwowana i zakłopotana podejrzeniami, jakie snuje co do rzekomego udziału Andrzeja w sfingowanym na nią napadzie. Sama możliwość takiego nieporozumienia (które dzieliło sporo widzów) zdaje się świadczyć, że niezupełnie można się zgodzić na aktorską interpretację nieobojętnego w sztuce motywu.

Jeszcze większe budzi wątpliwości obsada roli Andrzeja. Stefan Środka nadał jej mylące akcenty jakiegoś zblazowania, czy nawet nonszalancji. Nie tak sobie wyobrażać można tę ciekawą postać młodego wiejskiego chłopca, wychowanego w środowisku kułackim, a odkrywającego ewolucję ku nowym pojęciom. Po szczegóły zachowania można by sięgnąć np. do poruszającej ciekawie podobny problem, a niedocenionej powieści Józefa Mortona „Wielkie dni". Ale i w samym tekście „Chwastów" sporo mieści się rysów, które przedstawienie jakoś zaniedbało: młody Andrzej Bartczak — to chłop gorący, porywczy, bardzo jeszcze młodziutki, ambitny, przekorny, lgnący z równym zapałem do zamiłowań sportowych (motor) jak i wyrywający się do miłości i to właśnie miłości ambitnej, trudnej, takiej w której ogromną rolę gra instynktowny podziw dla osobowości ukochanej...

Co do innych postaci reżyser — jak się zdaje — starał się im nadać pewien ton, jakiego w jego pojęciu wymagał rytm sztuki. Ton, o ile możności, nie refleksyjny: czuło się dążenie do tego, by ostry i gwałtowny gest, a także szybki tok, z jakim wypowiadano zdania podkreślał impulsywność postaci i natężenie ścierających się działań. Najbardziej to było widoczne w sylwetce sekretarza Komitetu Gminnego, Jaworskiego. Grał go Edward Dziewoński, dając postać raczej impulsywną, niż działającą ze złą wolą (co mi się wydaje ujęciem słusznym). Ale brawurowe tempo i zastarzałe chwyty komediowe, którym ten aktor hołduje raz po raz, wykazały charakter postaci, „zdrabniając" jej problematykę.

Natomiast wybornie zarysowała się sprawa drugiego w tej sztuce gwałtownika, tylko że lichszego pod względem moralnym gatunku młodego łobuza Królaka, załatwiającego porachunki z pomocą szantażu i wymysłów. Jerzy Felczyński dał dowód umiejętności obserwacyjnych, humoru scenicznego i trafnego doboru środków. Jedna tylko zagadka! — skąd rusycyzm w tej postaci?

Cztery inne postaci, nie miały już — bo zresztą nie potrzebowały mieć — owej przewagi żywiołowości. Józef Kostecki zagrał Szymańskiego jako człowieka dobrze obliczającego swe kroki, umiejącego opanować wzburzenie, zamaskować egoizm, logicznie układać sobie plany. Józef Klejer ujął Zenona Zawadę jako chłopa tradycyjnie ostrożnego, ale pełnego godności i nie pozbawionego rozsądku. Scena starcia z Sadowską, w której wybucha długo tłumione oburzenie, została zagrana znakomicie. To samo epizod podpisania szantażem wydobytych zeznań. Wiśniewskiego grał Zdzisław Tobiasz nieco flegmatycznie i ostrożnie. Myślę, że aktor mógłby tu wygrać pewne niedomówienia tekstu i w ten sposób wiele wyjaśnić, wiele nam po ludzku przybliżyć. W każdym razie był to człowiek działający i to rozumnie działający — nie rozprawiający tylko o potrzebie działania, człowiek rozgrywający poważną i konieczną walkę a nie spadający jak „deus ex machina".

Jedno z najtrudniejszych zadań aktorskich otrzymał Stanisław Gawlik, grający sekretarza gminy, Ryszczuka. Ryszczuk trzyma w rękach wszystkie nici brzydkiego spisku, jest intrygantem i agentem, zbrodniarzem i tęgim obłudnikiem. Że wszystko razem doskonale się w tej postaci trzyma i układa, że do końca potrafi Ryszczuk zachować pozory typowego wiejskiego urzędnika, że swe intryganctwo zręcznie przyobleka w pozory uczciwości i służbistości, a nawet człowieczeństwa — to jeszcze jeden dowód talentu tego młodego aktora, którego gra jest — jak zwykle — źródłem szczerej satysfakcji.

Umyślnie zatrzymałem się nieco dłużej nad grą aktorów tego przedstawienia. Sztuka jest tego warta, by każdą niemal postać rozważyć i zanalizować. Choć bynajmniej nie ze wszystkimi rozwiązaniami tego przedstawienia można się zgodzić, myślę, że „Chwasty" pozostaną nam w pamięci jako odważna i uczciwa próba pokazania spraw, wobec których teatr polski nie może pozostać obojętnym.

Wojciech Natanson

Nowe książki

W dzisiejszym felietonie zasygnalizujemy czytelnikom cztery książki z zakresu historii zasługujące na uwagę zarówno ze względu na udokumentowanie źródłowe, jak i — na twórczą naukową interpretację omawianej problematyki.

Zacznijmy od tomu pierwszego „Historii nowożytnej" („Książka i Wiedza", 1954) pod redakcją prof. B. F. Porszniewa, członka-korespondenta Akademii Nauk ZSRR, S. D. Skazina i prof. L. W. Birlukowa. Tom ten obejmuje dzieje powszechne zawarte między datami 1640—1789. Poszczególne rozdziały książki opracowane zostały przez wybitnych znawców omawianych okresów historycznych i problemów. Wydanie pomyślane jest jako podręcznik dla studentów i wykładowców wyższych uczelni. Niezwykle atrakcyjny dla wszystkich interesujących się zagadnieniami kulturowymi jest ostatni rozdział książki, w którym znajdujemy podsumowanie wypadków dziejowych omawianego okresu i dorobku kulturalnego Europy z uwzględnieniem wkładu narodu rosyjskiego w skarbiec kultury europejskiej. Nowo przełożona na język polski „Historia nowożytna" ze względu na jej ciekawe ujęcie i walory interpretacyjne będzie miała na pewno o wiele szerszy krąg odbiorców niż to przewidywali wydawcy. Dziewięć załączonych do tego tomu map orientuje znakomicie w sytuacji politycznej ówczesnej Europy.

Dzieje Złotej Ordy to zagadnienie, które od przeszło stu lat pasjonowało historyków-orientalistów. Już w roku 1826 Rosyjska Akademia Nauk ogłosiła konkurs na opracowanie tego tematu. Prawdziwe naukowe oświetlenie tego kluczowego dla historii późnego średniowiecza zagadnienia umożliwiło dopiero ukazanie się wydawnictw źródłowych, które opublikowano częściowo w roku 1884, częściowo dopiero w 1941. „Złota Orda" i jej dzieje" B. Grekowa i A. Jakubowskiego („Książka i Wiedza", 1953) jest pierwszą pracą naukową, która wypełniła lukę w dotychczasowych licznych badaniach nad tym problemem. Pierwsze wydanie książki ukazało się w Związku Radzieckim w roku 1937, drugie — 1941, trzecie, które właśnie zostało przetłumaczone na język polski, wyszło w roku 1950 nakładem Akademii Nauk ZSRR. Jest ono owocem ścisłej współpracy prof. Aleksandra Jakubowskiego — wybitnego historyka orientalisty i prof. B. Grekowa — znanego historyka Rusi Kijowskiej. Dzięki temu, dopiero w powiązaniu z dziejami Azji Środkowej i Rusi stają się zrozumiałe procesy rozwojowe Ordy.

Prof. Ananjasz Zajączkowski — autor wstępu przypomina, że w naszym Warszawskim Archiwum Głównym Akt Dawnych mamy niezwykle cenny zabytek archiwalny pochodzący z 1393 roku — słynny jarłyk, czy dokument z kancelarii Złotej Ordy. Jest to pismo chana Tochtamysza do Władysława Jagiełły, dokument w języku wschodnio-tureckim, sporządzony pismem ujgurskim. Zbadanie tego dokumentu jest wspaniałym polem do popisu dla orientalistów polskich.

Praca Grekowa i Jakubowskiego wykorzystuje także wnioski badań mongolisty — Borysa Władimircowa na temat „Feudalizmu koczowniczego". Autorzy książki poświęcają część rozważań sprawie składu etnicznego ludności Złotej Ordy i pochodzenia ich języka.

Omawiany tom uzupełniają dwie mapy i zdjęcia zabytków kultury materialnej z Saraju Berke i innych miejscowości Złotej Ordy. Narzędzia, fragmenty strojów, naczynia i ozdoby o bardzo ciekawej formie i pięknej ornamentyce zainteresują na pewno nie tylko historyków sztuki.

Szczególnie ważne dla nas są prace uczonych radzieckich traktujące o sprawach polskich.

Jedną z nich jest W. D. Koroluka „Polska i Rosja a Wojna Północna" (Książka i Wiedza, 1954). Autor analizuje główne czynniki wpływające na kierunek polityki zagranicznej Polski w tym okresie. Omawia szeroko agresję szwedzką jako moment decydujący i zasadniczy we wszelkich posunięciach politycznych i wykazuje, że pomyślne zakończenie wojny możliwe było tylko w sojuszu z Rosją. Bardzo interesująco komentuje uczony radziecki trudności i opory, jakie napotykało wciągnięcie Polski do tej wojny już po zawarciu przymierza z Rosją. Uważa, że źródeł tego zjawiska należy szukać w ustroju społecznym i państwowym Polski, oraz w antagonizmach polsko-rosyjskich, u podłoża których w ogromnej mierze leżało niezadowolenie pewnych kół feudałów marzących o przywróceniu swej władzy na ziemiach ukraińskich.

Rozprawa Koroluka o „Wojnie Północnej" weszła w formie bardziej zwięzłego i syntetycznego szkicu do zbioru prac „Historycy radzieccy o Polsce" (Książka i Wiedza, 1953). Koroluk jest także autorem zawartego w tym tomie „Przyczynka do zagadnienia stosunków rusko-polskich w X wieku". Dalej znajdzie tu czytelnik pracę W. Piczety — „Statut Litewski 1529 i jego źródła", O. Iwanowej — „Przyczynek do zagadnienia upadku gospodarki chłopskiej w Polsce w drugiej połowie XVII i w pierwszej połowie XVIII wieku", oraz Rubinsztejna — „Polityka kolonizacyjna wilhelmowskich Niemiec na zachodnich ziemiach polskich (1900—1914)".

Książka przeznaczona jest dla pracowników naukowych, nauczycieli, studiującej młodzieży. O jej walorach podobnie jak i przy poprzednio omawianych pozycjach decyduje przede wszystkim nowatorska interpretacja zjawisk historycznych oparta o marksistowską metodę badań.

K. Nast.

KORESPONDENCJA • KORESPONDENCJA

O przekładach Melville'a

Omawiając obszernie powieść Melville'a pt. Moby Dick („Nowa Kultura" nr 36), Stefan Morawski pominął milczeniem nazwisko tłumacza, a Redakcja powodowana widać podobną dyskrecją nie zaopatrzyła recenzji w notatkę bibliograficzną.

Przeoczenie to — tym osobliwsze, że Morawski w swoim artykule zacytował spory wyjątek przekładu — charakteryzuje stosunek niektórych recenzentów do pracy tłumacza; jeśli poza tym Morawski nie czuł się powołany, by ocenić — ujemnie czy dodatnio — przekład Bronisława Zielińskiego, dziwne, że podjął się recenzji, która z natury rzeczy winna taką ocenę zawierać.

Chodzi przecież o fakt wydawniczy nie małej wagi: czytelnik polski otrzymał po raz pierwszy jedno z głównych dzieł wielkiego klasyka amerykańskiego — otrzymał w całości i w nienagannym przekładzie. **Moby Dick** bowiem, okrojony do swojego wątku najbardziej sensacyjnego, ukazał się w latach międzywojennych, a także i po wojnie, w przekładzie lichym, nie oddającym ani istoty, ani piękna Melville'owskiej prozy.

Zieliński wyszedł obronną ręką z trudności, jakie nasuwa język Melville'a — zawiły, pełen dziwacznych metafor, rzadkich wyrazów, neologizmów i skomplikowanych form gramatycznych, nie łatwych do przetransponowania na klarowną i piękną polszczyznę, którą podziwiamy w obecnym przekładzie. Morawski zauważył tylko, że „książkę czyta się chwilami trudno" — nie nadmieniwszy, iż owe trudności nie wynikają z winy tłumacza, ale ze stylu autora. Osobnego wkładu pracy wymagały tu wreszcie tak zwane realia, nie najłatwiejsze choćby z uwagi na naszą wciąż jeszcze — o ile wiem — nie całkiem ustaloną i raczej trudną terminologię morską.

Zieliński, tłumacz ambitny (nie każdy obrałby sobie **Moby Dicka**, jako drugą pozycję przekładową) okazał się świetnym artystą: czytając jego przekład wspomnimy najlepsze osiągnięcia Anieli Zagórskiej — i bodaj czy nie należałoby zaliczyć **Moby Dicka** do najwybitniejszych przekładów z klasyki anglosaskiej, jakie ukazały się u nas w ogóle.

I jeszcze jedna pretensja. Morawski powiada, że wszystko, co Melville napisał poza **Moby Dickiem** (streszczam tu myśl recenzenta) było dużo słabsze. Trudno się z tym zgodzić. Z Melvillem było po trosze jak ze Stendhalem: został w pełni doceniony w wiele lat po śmierci. **Pierre or the Ambiquities**, powieść częściowo autobiograficzna, jest arcydziełem nie gorszym — jeśli w taki sposób można klasyfikować — niż **Moby Dick**, arcydziełami są również opowiadania o tematyce bardzo różnorodnej (**Kancelista Berthleby, Kampanila, Wyspy Zaczarowane, Benito Cerero** i wiele innych).

Miejmy nadzieję, że Zieliński nie każe czekać nam długo na dalsze przekłady z Melville'a.

Julian Rogoziński

Pretensja do „Szpilek"

Dwa lata temu „Biblioteka Szpilek" postanowiła wydać wybór satyry radzieckiej. W czasie swego pobytu w Moskwie red. Eryk Lipiński korzystając z uprzejmości kolegów satyryków radzieckich i redakcji „Krokodyla" przekonsultował projekt takiego wyboru i przywiózł materiały. Redaktor Eryk Lipiński z ówczesnym redaktorem czytelnikowskiej „Biblioteki Szpilek" Antonim Marianowiczem złożyli materiał ten do wydawnictwa „Czytelnik" i jednocześnie zwrócili się do mnie z propozycją zredagowania tej książki. Ponieważ do realizacji tego projektu upłynęło parę miesięcy, musiałem podjąwszy się redagowania książki poszerzyć ją o kilka nowszych pozycji satyry radzieckiej, co nie zmieniło zasadniczego trzonu książki. Redakcja „Szpilek" zaproponowała mi również nazwiska tłumaczy, z których pracy skorzystałem; również większość materiałów tłumaczonych była drukowana uprzednio w „Szpilkach". W międzyczasie „Biblioteka Szpilek", zaczęła ukazywać się po prostu jako „Biblioteka Satyry". Tak więc wspomniany wyżej wybór satyry radzieckiej ukazał się w tej bibliotece. Po ukazaniu się książki przeczytałem w Nr 37 (687) „Szpilek" napastliwą recenzję z wyboru satyry radzieckiej podpisanej j. s. Nie chcę się wdawać w dyskusję na temat graficznego opracowania książki. Natomiast co najmniej zdumiewający jest fakt, że redaktor naczelny „Szpilek", Zbigniew Mitzner, któremu są dobrze wiadome wyżej przytoczone okoliczności opracowania książki, drukuje w swoim piśmie nieodpowiedzialną napaść na nią. Cóż by było, gdyby się ta książka ukazała pod nagłówkiem „Biblioteki Szpilek", jak to pierwotnie planowała Sz. Redakcja? W swoim ferworze atakowania tej książki j. s. nie znalazł w niej nic dobrego — nawet satyry radzieckiej z jej czołowym osiągnięciem ostatniego okresu, satyrą Trojepolskiego, wysuniętą jako tytuł wyboru.

Jak ocenić tego rodzaju wyskok krytyczny „Szpilek" — pozostawiam do uznania czytelnikom.

Jan Śpiewak

Jeszcze w sprawie „Brakoróbstwa w reportażu"

Cytaty wyrwane z tekstu dają na ogół opaczny obraz tego „co autor chciał powiedzieć". Ponieważ jednak cytowanie stosowane bywa powszechnie, nie mogę mieć za złe naczelnemu redaktorowi „Gazety Zielonogórskiej" tow. W. Lemieszowi, że posłużył się tą metodą, krytykując mój artykuł pt. „Ludzie książek", zamieszczony w N-rze 27 „Nowej Kultury". Na zarzuty postaram się — bez cytat odpowiedzieć po kolei.

1) Red. Lemiesz twierdzi, że korespondent z zielonogórskiego browaru tow. Barć wyraził się, że rozmowa nasza „jakoś nie tak" przebiegała. Nic dziwnego. Rozmowa bowiem istotnie miała inny przebieg. Z tow. Barciem rozmawiałam o książkach Zoli. O innych autorach i innych książkach mówiłam z innymi, obecnymi na sali korespondentami. I właśnie o tym pisałam w moim artykule.

2) „Tajemniczy informator", który wspomniał o potrzebie skorowidzów przepisów prawnych, tablic od wynagrodzeń, etc. rzeczywiście nie mógł być korespondentem z fabryki sprzętu rolniczego w Sulęcimie, skoro red. Lemiesz czarno na białym dowiódł, że nikogo z tej farbyki na owej naradzie nie było. Moja omyłka — moja wina. Wypowiedzi korespondentów, jak również ich nazwiska i nazwy miejscowości notowałam z pamięci dopiero po powrocie do hotelu. Nadal jednak twierdzę uparcie, że taka wypowiedź była. I fakt ten wydaje mi się ważniejszy od popełnionej omyłki.

3) Punkt trzeci dotyczy mojej rozmowy z red. Lemieszem, na temat drukowania wierszy w codziennej prasie. O ile sobie przypominam — tak właśnie wówczas się wyraził. W każdym razie żadnymi sztuczkami ani „pikantnymi" (?) chwycikami posługiwać się w moim artykule nie miałam zamiaru.

Co się tyczy szacunku dla czytelników — czuję go szczególnie wiele wtedy, gdy spotykam się z rzeczową i rzetelną krytyką. Krytyka zaś wydaje mi się słuszna jedynie wówczas, gdy zachowuje właściwe proporcje — tj. atakuje błędne zasadnicze tezy lub założenia. Zwichnięcie tych proporcji — gdy atakuje się drobiazgi, usiłując im nadać charakter meritum sprawy — zawsze uważałam i nadal uważać będę z niesłuszne i obu stronom nie przydatne.

Maria Kurecka

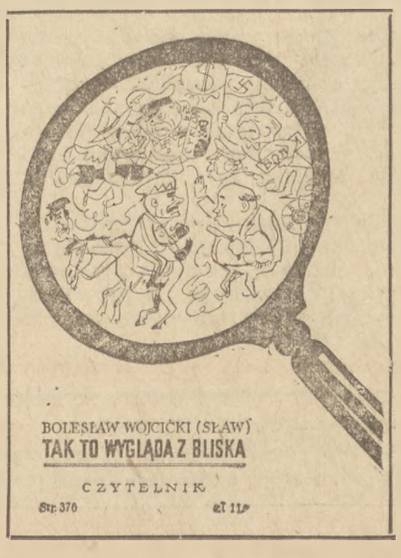

SPROSTOWANIE

Fragment prozy, zamieszczonej w „Nowej Kulturze" Nr 57 (233) z dnia 12 września br. pt. „Spotkanie w Kijowie" wyjęty jest z mej powieści „Królestwo bez ziemi", z drugiego tomu tetralogii. Na skutek późnego ustalenia tytułów i podziału na tomy przez Wydawnictwo Literackie, które wydaje powieść notka poprzedzająca fragment w „Nowej Kulturze" była nieścisła.

Tadeusz Holuj

ANTONI CZECHOW

Z „Podręcznika rybołóstwa"

...W okolicach Moskwy spotkać można następujące gatunki ryb:

a) SZCZUPAK. Ryba ani piękna, ani smaczna, ale roztropna i pozytywna, z pełnym przekonaniem odnosząca się do swoich szczupaczych praw. Żre wszystko, co tylko trafi się na drodze: ryby, raki, żaby, kaczki, drobne dziatki... Każdy szczupak sam jeden zjada więcej ryb niż wszyscy razem wzięci goście w traktierni Jegorowa. Szczupak nie bywa nigdy syty i stale skarży się na złe interesy. Kiedy zwrócić szczupakowi uwagę na jego chciwość i na fatalny stan rybiego drobiazgu, szczupak odpowiada: „Spróbuj jeszcze coś powiedzieć, to raz — dwa znajdziesz się w moim żołądku!" Kiedy zaś wytykają mu to ryby grubsze od niego, wówczas mawia: „E tam, dobrodziejaszku, a kto w dzisiejszych czasach tych rybek nie żre? Taki już od początku świata obyczaj, żeby szczupaki zawsze syte były". Kiedy grożą mu, że będzie osmarowany w prasie, to odszczekuje się: „A ja na to gwiżdżę!"

Rys. A. Pomianowska

b) KLEŃ. Rybi inteligent. Pełen galanterii, zręczny, przystojny, o myślącym czole. Jest członkiem licznych towarzystw dobroczynnych, deklamuje z uczuciem Niekrasowa, z oburzeniem mówi o szczupakach, niemniej jednak pożera rybi drobiazg z takim samym, co szczupak, apetytem. Uważa zresztą tępienie piskorzy i ukiejek za smutną konieczność, za prawo epoki... Kiedy w prywatnej rozmowie zarzucić mu różnicę między jego słowami, a czynami — wzdycha i mówi: — Nie ma rady, łaskawco! Piskorze nie dojrzały jeszcze do życia bez trosk, a zresztą, proszę się zastanowić, jeżeli przestaniemy je pożerać, to cóż im damy w zamian?...

c) MIĘTUS. Przyciężki, nieruchawy i flegmatyczny, niczym kasjer teatralny. Słynie ze swojej ogromnej wątroby, z czego jasno wynika, że lubi wypić. Mieszka w jakichś norach i żywi się byle czym. Z natury jest drapieżny, ale potrafi zadowolić się padliną, robakami i trawą. „Gdzież mi tam pchać się między szczupaki i klenie? Co podadzą, to się żre. Chwała Bogu i za to". Złapany na wędkę, daje się wyciągnąć z wody jak kawał drewna, bez żadnego protestu... I tak ma wszystko w nosie...

d) OKOŃ. Przystojna rybka o dostatecznie ostrych zębach. Drapieżnik. Samcy czynni są jako antreprenerzy, a samice występują na koncertach.

e) JAZGARZ. Dziarskie i szczwane indywiduum, przekonane, że bronią go przed szczupakami i kleniami „przywileje" otrzymane od samej przyrody; niemniej przeto regularnie trafia do garnka.

Rys. A. Pomianowska

f) KARAŚ. Siedzi w mule, drzymie sobie i czeka, kiedy zje go szczupak. Od maleńkości przyzwyczaja się do myśli, że najbardziej mu do twarzy w stanie smażonym. Porzekadło: „Po to są szczupaki w wodzie, żeby karasie nie drzemały" rozumie w sensie pochlebnym dla szczupaków...

„— We dnie i w nocy powinniśmy być gotowi do usługi na każde żądanie pana szczupaka... Przecież tylko dzięki niemu..."

g) PISKORZ. Stały gość kas pożyczkowych, tandetnych rozrywek ogródkowych, obywatel poczekalni. Urzęduje w kantorze kolei Moskiewsko-Kurskiej, wręcza adresy dziękczynne szczupakom i dniami oraz nocami pracuje, żeby klenie mogły chodzić w futrach.

h) PŁOĆ. Malutka, półsuchotnicza rybka, wegetująca na stanowisku rachmistrza, albo skrobiąca nędzne przekłady do czasopism. Jest w dużych ilościach pożerana przez szczupaki i okonie. Samice bywają utrzymankami miętusów i linów.

Rys. A. Pomianowska

i) LIN. Leniwa, zapluta i gnuśna ryba w czarno-zielonym, urzędniczym mundurze; nie może się doczekać emerytury. Zażywa tabakę stale przez jedno nozdrze, wystawia do wiatru karasie i leczy swoje zawały.

k) UKLEJA. Bierze na muchę. Nędzarka.

l) LESZCZ. Prowadzi szynk przy samej szosie i zarabia na dostawach. Udaje, że żywi się wyłącznie potrawami jarskimi. Kiedy zeżre rybkę, to szybko uciera wargi, żeby panowie nie spostrzegli...

Tłumaczył **Jerzy Pomianowski**

JÓZEF GRUDA

Wywiad z Pytją

Odwiedzamy znanego krytyka teatralnego, członka licznych kolegiów i związków twórczych, Doradcę Ministerstwa Kultury i Sztuki dr. red. prof. Pytję w jego gabinecie.

PYTJA: *Wywiad dla „Nowej Kultury"? — proszę, proszę. Towarzysze zechcą łaskawie — usiąść na baczność!*

(Pierwsza wypowiedź Redaktora daje nam już słaby przedsmak sławnej Metody Pytji. Zaczynamy więc nieco obcesem).

MY: Jak, Redaktorze, zapatrujecie się na możliwości wystawienia „Wesela" Wyspiańskiego?

PYTJA: *Zawsze byłem zdania, że niewystawienie „Wesela" należy do najpoważniejszych błędów naszej polityki kulturalnej, to znaczy, jestem absolutnie przekonany o niemożliwości współczesnej interpretacji „Wesela".*

MY: Dziękujemy! Jak oceniacie Brecht, Brechta?

PYTJA: *Jest to najwybitniejsza współcześnie nam indywidualność twórcza w postępowym teatrze światowym i niesposób nie stwierdzić, że obciążenia wrogiej ideologii drobnomieszczańskiej przeżarły na nice postępowe i rewolucyjne treści Jego twórczości.*

MY: A co powiecie o ostatniej kreacji pani Ygrek w sztuce współczesnej pt. „Kaśka" w inscenizacji i reżyserii Zeta?

PYTJA: *Sztuka byłaby znakomita, gdyby nie była taka zła: pani Ygrek stworzyłaby kreację, gdyby rozumiała choć jedno słowo z tego co mówi, a reżyser z wrodzonym sobie talentem zrobił wszystko, co możliwe, aby interesująco zdezorientować aktorów i błyskotliwie zagmatwać absurdalny sens tej znakomitej i godnej rozpowszechnienia słabej sztuki.*

MY: Taak! Czy moglibyśmy jeszcze prosić Redaktora o kilka słów oceny działalności Centralnego Zarządu Teatrów? Słyszeliśmy, że macie zastrzeżenia?

PYTJA: *Nie tylko mam zasadnicze zastrzeżenia ale uważam, że jest to instytucja w najwyższym stopniu pozytywnie — negatywna i odwrotnie!*

MY: Co Redaktor teraz pisze?

PYTJA: *Dzieło pod tytułem „Na wyżynach zastoju wspaniałych osiągnięć naszego teatru"* .

MY: To chyba wystarczy. Serdecznie dziękujemy! Wszystko jest już absolutnie jasne! Aha, wybaczcie, Redaktorze, pytanie może zbyt intymne, ale czy moglibyście nam jeszcze coś powiedzieć o swoim powinowactwie ze sławną Pytją Delfickią?

PYTJA: *Naturalnie: To nieprawda — co głoszą przyjaźni mi wrogowie — że jestem nieślubnym ideologicznym prawnukiem wywodzącym się w prostej linii po mieczu, pochwie i kądzieli od sławnej swej prababki Pytji Delfickiej — natomiast prawdą jest, że kontynuuję postępowy sens jej niezawodnej metody twórczej.*

MY: Na czym polega twórcza kontynuacja metody Pytji Delfickiej w działalności krytycznej prof. Redaktora?

PYTJA: *To proste! Pytja Delficka była prostą babą, której kapłani, po odurzeniu ziołami, podsuwali wygodne sobie myśli i sądy — co naturalnie odrzuciłem jako postawę niegodną współczesnego krytyka, chociaż nie przeczę, że miało to swoje walory uwalniające obie strony (to znaczy kapłanów i Pytję) od męki ryzyka i odpowiedzialności za ewentualny błąd. Z puścizny Pytji z Delf zachowałem samo jądro czyli istotę metody.*

MY: Na czym to jądro polega, Doktorze?

PYTJA: *Jakby to powiedzieć towarzysze! Otóż, każde zdanie swoich recenzji konstruuję w ten sposób, by były w nim jednocześnie: pochwała i nagana, potwierdzenie i zaprzeczenie, pozytyw i negatyw, aby pewność nie wykluczała wątpienia i na odwrót. W ten sposób druga część zdania, zaprzeczając pierwszej broni ją, uzupełnia i samoistnie podpiera. Umożliwia to obronę moich sądów od wszystkich stron i z każdej pozycji nie mówiąc już o wykluczeniu możliwości popełnienia omyłki. Metoda jest, stwierdzam to na podstawie 10 lat doświadczenia i naukowej analizy — nie do obalenia. Zawsze mam rację.*

MY: Jak metoda Profesora została przyjęta w naszym świecie artystycznym, a szczególnie w teatrze?

PYTJA: *Z wielkim zadowoleniem i ulgą. Mam już nawet licznych uczniów i naśladowców. Artyści z dużą satysfakcją wybierają z moich recenzji wyłącznie pochwały, krytyka korzysta tylko z nagan i zastrzeżeń, a czynniki miarodajne cieszą się z absolutnej równowagi, braku przegięć i dogłębnej jałowości i umiaru moich sądów. A więc wszyscy są zadowoleni i ja też.*

MY: Serdecznie dziękujemy Prof. Redaktorze i postaramy się wiernie przekazać wasze cenne uwagi i doświadczenia czytelnikom „Nowej Kultury". Ale, ale Profesorze, nie wzięliśmy płaszczy. Czy moglibyście nam jeszcze powiedzieć jaka będzie pogoda?

PYTJA: *Z przyjemnością, towarzysze. Nie martwcie się, pogoda będzie doskonała, chyba żeby lało!*

Nie mamy już teraz najmniejszej wątpliwości. Opuszczamy gabinet Profesora Doktora Redaktora całkowicie usatysfakcjonowani: *Pytja jest niewątpliwie najwybitniejszym krytykiem naszych czasów!*

Józef Gruda

STANISŁAW JERZY LEC

O odznaczeniach w „Szpilkach"

Co tydzień krzyży bez liku,
Czyżby cmentarz satyryków?

W KINIE I GDZIE INDZIEJ

Notatki festiwalowe (1)

Rokrocznie chce się powtórzyć, że Festiwale Filmów Radzieckich, organizowane u nas w ramach Miesiąca Pogłębienia Przyjaźni Polsko - Radzieckiej, to bardzo dobry, pożyteczny zwyczaj. Nie tylko dlatego, że stanowią one okres, kiedy jest na co chodzić do kina, ba, kiedy nawet można wybierać, na jaki film się wybrać; i nie tylko dlatego, że można w tym okresie trafić na niezły, lub nawet całkiem dobry film. To wszystko są, rzecz jasna, bezsporne zalety Festiwalu, ale nie one wydają mi się najważniejsze.

Najważniejszy wydaje mi się fakt, że doroczne Festiwale dają naszemu widzowi możliwie najpełniejszy i całościowy obraz produkcji radzieckiej, że systematyczne śledzenie programu festiwalowego daje nam pojęcie nie tylko o poszczególnych filmach, ale i o kierunku rozwojowym, drodze, po jakiej idzie kinematografia radziecka. Ta zaś droga, kierunek rozwoju, prawidłowości, jakie można wyśledzić przyglądając się temu kierunkowi, wydają mi się sprawą najważniejszą, jeśli idzie o nasz stosunek do filmu radzieckiego

Pamiętamy, że w dniach, kiedy zaczynało się u nas mówić o realizmie socjalistycznym film radziecki służył nam jako konkretny i szczytny przykład, widoma realizacja tych założeń teoretycznych, o przyjęcie których szła walka w środowisku twórców polskich. Wysuwać hasło realizmu było nam dlatego znacznie łatwiej, że za hasłem tym stały konkretne przykłady filmów powstałych dzięki tej metodzie i to filmów, które nawet przez przeciwników realizmu socjalistycznego uważane są za arcydzieła — przykłady „Czapajewa", „Trylogii o Maksymie", „Burzy nad Azją". Dzięki więc kinematografii radzieckiej realizm socjalistyczny mógł i u nas w filmie odnieść sukces jeśli nawet jeszcze nie w konkretnych realizacjach, to przynajmniej w świadomości twórców.

Ale sprawa ma również i drugą stronę. Nie tylko nasza argumentacja odwołuje się do filmu radzieckiego — nie brak powoływania się nań i w obozie przeciwników realizmu. Wystarczy jakiekolwiek potknięcie twórców radzieckich, wystarczy film słaby — bo przecież film radziecki to nie tylko „Czapajewy" i „Maksymy" — aby kuć z niego argument nam przeciwny, argument starający się podważyć metodę realistyczną.

Wydaje mi się, że nie ma nic bardziej naiwnego w stosunku do filmu radzieckiego, jak kruszyć kopie o każdy, nawet nieudany film radziecki. Jest to naiwność podwójna, ponieważ sami twórcy i krytycy radzieccy umieją surowo i sprawiedliwie oceniać swoje filmy, czego przykłady spotykamy nie tylko w bieżącej krytyce, ale i w oficjalnych enuncjacjach najwyższych czynników. Nie widzieć różnicy pomiędzy metodą, jaką posługuje się film radziecki, kierunkiem, w którym zmierza, a poszczególną, konkretną i — niekiedy — nieudaną realizacją, to taki sam błąd, jakim jest np. wieszczenie krachu realizmu w literaturze na podstawie książki „Kampania znaczy walka"

I dlatego — wracam do wyjściowej pozycji — cenię festiwale za to, że dają nam one całościowy, kompletny obraz filmu radzieckiego w rozwoju. Że przez sam już fakt corocznego prezentowania pewnej liczby nowych pozycji filmowych dają one możność zorientowania się w kierunkach, nurtach, poszukiwaniach. Są więc one dzięki temu właśnie odtrutką na płytkie, naiwne, prostackie pojmowanie znaczenia filmu radzieckiego dla nas.

Przyjęło się w zwyczaju, że wraz ze współczesnymi, nowymi filmami w ramach festiwalu pokazywane są filmy klasyczne, owe kamienie węgielne realizmu w sztuce filmowej, arcydzieła z dawno już wizowanym paszportem do historii sztuki. Widzę w tym wyraz zarazem ambicji i odwagi festiwalów. Jest to bowiem coś podobnego, jakby poeta, wydając swój zbiorek, załączał doń na końcu kilka „Sonetów krymskich" lub fragment „Beniowskiego", pozwalając tym samym czytelnikowi na porównania, oraz wskazując na najwyższą miarę, którą pragnie osiągnąć. Czy nowe filmy radzieckie wytrzymują tę miarę? — Nawet gdy przyjmiemy poprawkę na inną, trudniejszą do oddania na ekranie, a przede wszystkim nową, nie dość jeszcze poznaną rzeczywistość historyczną, którą odbijają, trzeba będzie powiedzieć, że nie wszystkie. Ale czy poezja gorsza od Mickiewicza — również przy wszystkich możliwych poprawkach — przestaje być poezją? Czy nie warta jest pochwały za to, że mierzy tak wysoko?

*

Przejdźmy do filmów. Na początku notatek festiwalowych pragnę omówić dwa filmy, z których jeden uważam za bardzo udany, drugi za dyskusyjny.

Zacznijmy od „Dygnitarza na tratwie" reż. Kałatozowa, twórcy znanego nam jako autor filmu „Spisek bankrutów". Już sam ten fakt jest wymowny. Reżyser od zakrojonej na „monumentalną" skalę, pół-fantastycznej, bo rozgrywającej się w państwie nie istniejącym na mapie, pół-sensacyjnej opowieści politycznej przechodzi do komedii zamierzonej raczej skromnie, prawie kameralnej, w której zamiast tłumów i haseł przemawiają z ekranu bardzo zwykli, ciepło i z bliska pokazani ludzie. I to ludzie uchwyceni wcale nie w momencie szczególnie dramatycznym, pełnym napięcia, ale w czasie urlopowego wypoczynku, to znaczy wtedy, gdy mają święte prawo położyć się na trawie i patrzeć w chmury. Więcej w tym filmie klimatu „Śniadania na trawie" niż „Przysięgi Horacjuszy". Jednocześnie nie mamy jednak żadnej wątpliwości, że ci trzej bohaterowie, których grają trzy wielkie gwiazdy radzieckiego aktorstwa — Czirkow, Merkuriew i Borysow, a grają tak, że aż miło popatrzeć jak sami się przy okazji tej komedii świetnie bawią — zdolni są do wielkich, dramatycznych czynów. Czyny te zresztą wykonują po prostu i bez bufonady, gdy okoliczności rzeczonej wyprawy na tratwie nastręczają ku temu okazję. Słowem, nie budzi wątpliwości nowość tych ludzi, tak samo jak nowym jest społeczeństwo, które ich otacza. Nowym nie dlatego, że idealnym, podanym w pastelowych kolorach. „Dygnitarz na tratwie" jest komedią satyryczną, nie cofa się przed obrazami nie tylko karykaturalnymi, ale wręcz ponurymi, jak obraz biurokraty Niechody — okropna, goyowska wizja urzędniczego szkodnika. Dzięki temu, że jest komedią satyryczną w sensie społecznym może stać się również komedią charakterów. A dzięki charakterom — wcale nie idealizowanym — głównych bohaterów, którzy są przecież jednak pozytywnymi bohaterami radzieckimi, jest to komedia optymistyczna, afirmatywna. Mnie się zdaje, że film ten kładzie kres talmudycznym roztrząsaniom nad współzależnością satyry społecznej i komedii charakterów, krytyki i afirmacji. Przecina ten spór w sposób najprostszy — przy pomocy kawałka prawdy życiowej, która, poza wszystkim innym, jest również w tym filmie źródłem niewymuszonego humoru. Nowy film Kałatozowa — ta „Wołga, Wołga" przeniesiona w rok 1953 — to jeden z najcenniejszych filmów tegorocznego festiwalu.

O „Promieniach śmierci" A. Rooma powiedziałem, że to film dyskusyjny. Zarówno ze względu na gatunek, jaki reprezentuje, jak i na realizację. Fabuła jego, to komplikacje dookoła śmiercionośnego preparatu, który wynaleziony przez amerykańskiego uczonego stać się ma groźbą dla ludzkości. Akcja rozgrywa się w Ameryce. Obie te okoliczności wpływają na gatunek filmu: a więc, z jednej strony naukowa fantazja, nie pozbawiona zresztą aż nazbyt przejrzystej i wcale nie fantastycznej aluzji, z drugiej obce, inscenizowane środowisko, obcy kraj i obyczaje, co wyklucza możliwość wiernej i wnikliwej obserwacji, skazując film na umowność, tkwiącą w samym założeniu.

Rację bytu dla naukowej fantazji usprawiedliwia w pełni burzliwy rozwój nauki i techniki w naszych czasach; prawo do bardzo niebezpiecznego eksperymentu ukazywania na ekranie obcego kraju, w którym nie można dokonywać zdjęć również, przy odrobinie wysiłku, daje się wybronić, choćby przy pomocy precedensów w historii filmu. Ale zarówno w jednym jak i w drugim wypadku decydujemy się przecież na sztuczność, umowność, kierujemy się już nie prawdą, ale prawdopodobieństwem I musimy owo prawdopodobieństwo zamiast prawdy czymś rekompensować. Autorzy powieści fantastycznej od Verne'a do Lema rekompensują ją żywością akcji, mobilizacją wszystkich środków dla zaabsorbowania uwagi widza.

Podobnie dziać się musi na ekranie. Nieuniknione, tkwiące w założeniu niedomogi obserwacji, umowności wszelkiego rodzaju pokryte być muszą akcją żywą, porywającą. Gdy tej akcji brak, wszystkie umowności, niekiedy drażniące, wyłażą na wierzch jak nie wypruta fastryga, zagrażając całości obrazu.

Mówiło się i myślało również u nas o filmie fantastycznym czy też fantastyczno-naukowym. Sprawa na pewno wymaga jeszcze niejednej dyskusji, w zasadzie jednak popróbować warto. I dobrze się chyba stało, że film radziecki w ramach festiwalu dostarczył nam próbki tego typu poszukiwań nawet, jeśli nie wszystko w tych poszukiwaniach jest udane. Dobrze się stało, że dziedzina, która dotychczas, poza eksperymentami Ptuszki leżała odłogiem, zaczyna pączkować. Hasło filmów dobrych musi być przecież poprzedzane przez hasło filmów różnych. „Promienie śmierci" uważać można za dowód, że tak rozumują twórcy radzieccy.

Krzysztof T. Toeplitz

Z MIEJSC STOJĄCYCH

Wychodząc ze stadionu

Czytam uważnie dyskusję o stadionie „Startu". Interesuje mnie mocno — tak jak każdego warszawiaka — wygląd stolicy. Obserwuję nawet z niepokojem te dyskusyjne wodociągi. Dużo zastrzeżeń, spostrzeżeń, ostrzeżeń. Ale jedna wypowiedź szczególnie mnie zaniepokoiła. Autor bije w niej projektantów za ubóstwo: że trzeba bogaciej, że więcej detalu, drzew, bo to sprawi ludziom przyjemność, bo wtedy będzie humanistycznie. Nie wiem, moje doświadczenie raczej uczy, iż widok nadmiernego bogactwa budzi u oglądających zażenowanie, natomiast najbardziej atakuje uczuciowość odbiorcy — proszę wybaczyć banał — artystyczna prostota.

Niektórzy architekci nasi lubią wystawność, nie żałują naszym domom ozdóbek pożyczanych z różnych czasów i epok (nie mówię tu — rzecz jasna — o odbudowie zabytków). Dochodzi już do takich paradoksów, że w tygodniku „Stolica" anonimowy autor z ogromną serdecznością tłumaczy warszawiakom, iż nie należy się zżymać na ten architektoniczny „groch z kapustą", bo rosną już nasze dzieci, a dzieci łatwiej się przyzwyczajają.

Felietonista ma prawo do omyłek, niesprawiedliwości i wyjaskrawień. Dlatego pozwolę sobie przytoczyć mój sąd w tej sprawie, sąd prostego człowieka z wyższym wykształceniem i zainteresowaniami plastycznymi.

Przede wszystkim irytuje mnie nielogiczność. Jak stary kawaler lubię porządek i klarowność. A więc proszę mi wytłumaczyć, dlaczego muszę znosić taką anarchię myślową widząc na secesyjnej ulicy warszawskiej, projektowanej i budowanej w roku 1953, samochody typu „Warszawa" produkowane w r. 1953. Przecież te domy z balkonikami gotyckimi, attykami renesansowymi, sztukaterią barokową utrzymane są w stylu upodobań secesji, kiedy panie i panowie ubrani w findesieclowe stroje jeździli w bogato zdobionych karocach. Po cóż więc ten chaos w gospodarce narodowej? Niech FSO na Żeraniu produkuje auta o karoseriach naśladowanych jak najwierniej z przeszłowiecznych powozów i karet. Po cóż te dziwne, gryzące się z otoczeniem nowoczesnych gmachów opływowe, proste linie „Warszaw"?

Druga sprawa z zakresu logiki. Każda prawie epoka zostawiła swój własny wyraz w architekturze. Dlaczegóż więc nasza, z której tak jesteśmy dumni, posługuje się skrupulatnie zdobyczami secesji, i to właśnie secesji? Buduje się dom nowocześnie i z nowoczesnego materiału a następnie z jakąś dziwną wstydliwością pokrywa się go inkrustacjami właściwymi dawnym czasom, kiedy ówczesna technika była bardzo prymitywna.

Nie będę już przypominał, że wyznajemy inną ideologię niż ludzie, którzy fundowali sobie domy 70 lat temu. Pamiętajmy choćby o tym, że z rozwojem cywilizacji ewoluuje gust zwykłego przechodnia. Nowe formy techniki mają też pewnie jakiś wpływ na upodobania ludzkie. Olbrzymi rozwój naszego przemysłu nie omija chyba świadomości szeregowego obywatela?

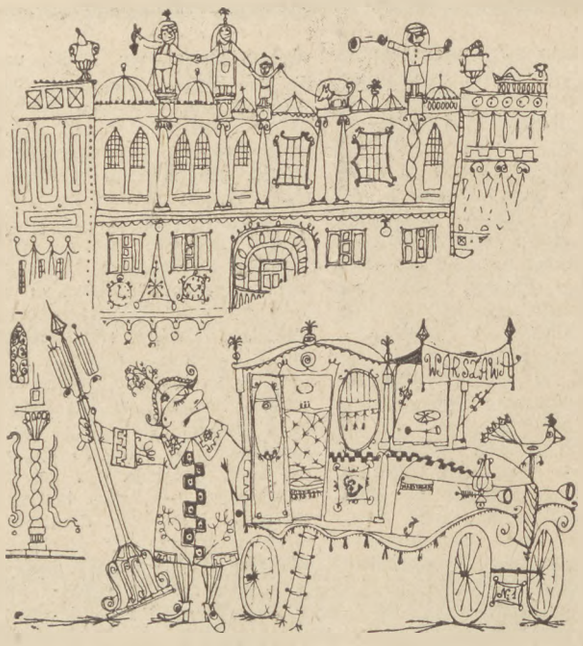

Rys. Lech Zahorski

A w ogóle zawsze budzi szacunek odwaga. Żyjemy w czasach, które sprzyjają odwadze. Niechby ona poraziła i naszych architektów.

Podobno na niedawnej międzynarodowej konferencji architektów w Warszawie pewien Francuz bardzo gorąco wychwalał polskich architektów. Podnosił ich pomysłowość w rekonstrukcji Starego Miasta, wychwalał pieczołowitość odbudowy Krakowskiego Przedmieścia.

W końcu, mówiąc o MDM-ie, rzekł:

— Jedno, wybaczcie, trudno mi zrozumieć, po co z takim wysiłkiem odbudowaliście dziewiętnastowieczną, secesyjną, bez specjalnych wartości artystycznych ulicę Marszałkowską?

Bardzo mnie rozgniewał ten Francuz.

Tadeusz Konwicki

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa ul. Wiejska 12. Telefony: Sekretariat 8 86-11, 8 24-11. — Red. naczelny 6 79-38. Adres administracji: Warszawa ul. Wiejska 12, tel. 8 53 30. Wydaje RSW „Prasa". Kolportaż PPK „Ruch", Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804 20 do 25. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4 60, kwartalnie zł 13 80, półrocznie zł 27 60, rocznie zł 55 20. Wpłaty na prenumeratę indywidualną przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa", Warszawa, ul. Poznańska 38, konto PKO 1-111 5589, tel. 8 23-09. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa", Warszawa, Marszałkowska 3/5.

5-B-19090